

ŻYCIĘ

ROK XI — NR 38 (535)

NIEDZIELA, 22 WRZEŚNIA 1957 R.

CENA 1/6.



Zabytkowy kościół w Sękowej pow. gorlicki, jeden z niewielu przetrwałych do dziś okazów gotyckiego budownictwa drzewnego z XVI wieku.

Niedziela, 22 września 1957 r

Wydaje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2. Telefon: AMBASSADOR 6879; PADDINGTON 9734
Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.
Prenumerata (płatna z góry): miesięczna: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalna: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półroczna s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950.
Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Zycia”. Zmiana adresu s. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 lin — 2 1, dol. 3.00, fr. fr. 1.000. Kolor. 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: **Argentyna:** „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia:** „Sponlem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **E. Trelster**, 138 Burton St., Darlington, N.S.W. **Belgia:** Mme E. Kulakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles. Pren. kwart. 130 frs. **Brasylia:** Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Latka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania:** Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, København S. **Francja:** Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia:** B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada:** Canadian Mosale Publishers, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy:** St. Mikliczuk, Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia:** B. Lubliński, Kongsgat 2, Moss. **Stany Zjedn.:** „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; S. J. Kosmyalowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N.J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria:** Mme B. Gierszowska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja:** Mgr. B. Z. Kurowski, Lund, Revingsgatan 13B. Pren. kwart. 14.25 krs. **Włochy:** Mme Bulhak-Jelska, via Salaria 300 C Roma.

LIST ARCYBISKUPA GAWLINY DO POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ ZAGRANICĄ

Po objęciu protektoratu nad działalnością Polskiej Macierzy Szkolnej ZAGRANICĄ J. E. ks. arcybiskup Józef Gawlina przesłał na ręce prezesa zarządu głównego P.M.S. list o następującej treści:

„Z prawdziwą radością objąłem na prośbę Pana Prezesa protektorat nad działalnością Polskiej Macierzy Szkolnej ZAGRANICĄ. Wychowanie polskie idzie wspólnie z wychowaniem religijnym, co zresztą Statut „Macierzy Szkolnej” jasno wyraża (art. 3). Cieszę się przeto ze współpracy Macierzy z naszym polskim Duszpasterstwem, które nie będzie szczędziło swej pomocy i rady.

Na nowy rok szkolny przesyłam swoje serdeczne błogosławieństwo dla Polskiej Macierzy Szkolnej, dla dzieci w szkołach, dla czcigodnych rodziców i ofiarnego Nauczycielstwa naszego.

Modlę się do Najświętszej Królowej Polski o otoczenie Macierzy Szkolnej najczulszą opieką,

szczerze oddany

† Józef Gawlina
Arcybiskup Madytu
Opiekun Emigracji.”

LISTY DO REDAKCJI

GRECKA HIPOTEZA STOI*)

W związku z moim artykułem „Greckie ślady w regeście Dagome iudex” (Antemurale III 95-116) ukazał się w ZYCIU (nr 20 z 19.5.57) artykuł pt. „Czy dokument Dagome iudex był pisany po grecku?” Autor tego artykułu, mgr Władysław Kujawski, przeczy, że wyraz locus, który w regeście „Dagome iudex” występuje w znaczeniu „ziemia, kraj”, pochodzi z przekładu greckiego topos. Powiada, że w tym samym znaczeniu występuje on w innych średniowiecznych zabytkach, które „nic wspólnego z greczyzną nie mają”, i wymienia najstarszy „Zywoł św. Wojciecha” z 999 roku, „Descriptio Alsatiae” i „Descriptio Theutoniae” z XIII wieku. Zobaczymy, czy pogląd p. Kujawskiego na użycie wyrazu locus i ocena wymienionych przez niego zabytków są słuszne.

„Descriptio Alsatiae” jest opisem chaotycznym, przypominającym swoją formą, układem, powtórkami i dygresjami analogiczne opisy greckie i arabskie. Jest to zbiór wiadomości o Alzacji i jej sąsiedztwie, opartych przede wszystkim na źródłach pisanych, na danych mapy świata, na którą autor się powołuje w dwóch miejscach, ityne-riarów, opisów rzek itp. Tylko końcowa część składa się być może z ustnych informacji zdobytych przez anonimowego autora, który przypuszczalnie nie był Alzaczyciem. Opis składa się z 13 ustępów. Pierwszy brzmi:

„Est locus in Theutonie partibus, Alsatia nomine, distans ab Oceano miliaria 61, quantum homo potest in tribus septimanis facilliter transire, seu miliaria 70. Locus iste est inter civitatem Argentinensem et Basileensem, continens miliaria sedecim in lon-

*) Powyższy list otrzymaliśmy od p. Stefena w pierwszych dniach sierpnia, lecz nie mogliśmy wydrukować go wcześniej. — Red.

gum et 3 in latum, ut comuniter computatur. Hic habet in se nonaginta conventus monialium seu etiam monachorum”**)

Drugi ustęp jest podobny, ale różni się treścią:

„Est terra modica in Europe partibus, que polum antarcticum penitus ignorat, polum vero articum super se in gradu 50 credimus possidere. Haec est terra Alsatie Alamanie, Haec habet Constantinopolim, civitatem Grecie, versus orientem, que secundum map-pam mundi sub meridionali linea continetur; ab hac autem usque ad Alsatiam potest homo sanus et valens in octo septimanis commode pervenire. Habet et civitatem in occidenti positam Cordubam nomine, et ad hanc potest homo pervenire in septem commode septimanis”***)

Jak widzimy, wyraz terra, który występuje dwa razy, znaczy „ziemia, kraj”. I w tym samym znaczeniu występuje tutaj wyraz locus w obu miejscach. Autor mierzy odległość dniami drogi, ale nie zaczyna od Alzacji, lecz od Konstantynopola, jak gdyby stamtąd pochodził. Ze zbytek został napisany poza Alzacją, dowodzi stałe powtarzanie się w jego części końcowej słów sunt ibi = „są tam”, np. „Sunt ibi equi...”; „Sunt ibi oves...”; „Sunt ibi boves...”; „Sunt ibi anseres...” itd.

Następuje opis Renu i trzech rzek, które nie mają żadnego związku z Alzacją, Rodanu, Dunaju i Łaby. Długość Renu jest podana w milach, długość Dunaju w milach i dniach drogi, co może mieć swoją przyczynę w tym, że Dunaj był Grekom lepiej znany niż Ren. Dunaj wpada do Morza Portyjskiego w pobliżu (prope) Konstantynopola. Jest w tym oczywiście pewna przesada, bo odległość Konstantynopola od ujścia Dunaju jest bardzo znaczna i równa się szerokości kraju bułgarskiego. Ale pisarzowi przypuszczalnie było przyjemnie wymienić jeszcze raz nazwę stolicy bizantyjskiej.

Nic wspólnego z Alzacją nie mają następne ustępy, 5 i 6. W pierwszym jest podana odległość w milach od Fryburga do Wiednia i od Wiednia do Morza Bałtyckiego, nazywanego według greckiego zwyczajem Oceanem (nazwa mare Balticum jest używana na zachodzie już w XI w.), w drugim mowa jest o tym, że odnośny kraj (tj. Germania) znajduje się w strefie siódmego klimatu i że najdłuższy dzień ma tam 18 godzin, najkrótszy 6. Są to dane z „Geografii” Ptolemeusza lub mapy świata Agatodajmona (W w.), opartej, jak wiadomo na teź „Geografii” i materiale kartograficznym Ptolemeusza.

**) W Teutonii jest kraina (locus) Alzacja, oddalona 61 mil od Oceanu, co człowiek może łatwo przemaszerować w ciągu 3 tygodni, lub mil 70. Kraina (locus) ta leży między miastami Argentum (= Strasburg) i Basilea i obejmuje, jak się zwykle oblicza, (obszar) 16 mil długości i 3 mil szerokości. Posiada 90 klasztorów żeńskich i męskich.”

**) „W Europie jest niewielki kraj (tutaj: terra) który nie zna zupełnie południowego nieba (lub: bieguna południowego) i ma, jak sądzą, niebo północne (lub: biegun północny) pod 50 stopniem ponad sobą. Jest to kraj (terra) Alzacja w Alemanii. Na wschód od niego leży Konstantynopol, stolica Grecji, która według mapy świata znajduje się pod południkiem (tutaj opuszczono liczbę); stamtąd może zdrowy i silny człowiek swobodnym krokiem dotrzeć do Alzacji za 8 tygodni. Na zachód od niego leży stolica Korduba; tam może człowiek swobodnym krokiem dotrzeć za 7 tygodni.”

Źródła te były znane w Grecji, w Konstantynopolu i w innych ośrodkach greckiej kultury. Zachód niemiecki nie mógł się nimi posługiwać, bo nie było łacińskich przekładów. Istniały wprawdzie arabskie przekłady dzieł Ptolemeusza i arabskie przeróbki Ptolemejskiej mapy świata, ale z nich autor naszego zabytku nie korzystał, gdyż geografia arabska (Idrisi!) lokalizowała Germanię w szóstej strefie klimatycznej. Powołując się na mapę świata autor niewątpliwie myśli o mapie greckiej. Oczywiście były na zachodzie znane łacińskie „mappae mundi” wzorowane na dawnej mapie rzymskiej. W 1261 roku wykonano taką mapę nawet w Alzacji. Ale mapy te, jak dowodzą najlepsze egzemplarze z Ebstorf (XIII w.) i Hereford, nie miały siatki południków i równoleżników ani nie znaly podziału ojkumeny na strefy klimatyczne.

Z ustępem 7 opis wraca znowu do Alzacji. Tutaj zaczyna się wesołe z naszego punktu widzenia opowiadanie „południowego” człowieka o wodach, lodzie i śniegu. Niektóre z wód alzackich mają 50 stóp głębokości, inne 40, inne 30, inne 20, inne 15, inne 10, inne 5, inne nawet mniejszą. Wody studzien są ciepłe w porze zimowej, a zimne w porze letniej. Wody potoków są ciepłe w porze letniej, a zimne w porze zimowej. Zamieniają się w lód w ciągu jednej nocy. I śniegi spadają w Alzacji. Śnieg trzyma się przez jedną godzinę, czasami przez cały dzień, czasami przez jeden tydzień, czasami przez kilka tygodni, w górach nawet do letniego przesilenia dnia z nocą. Motywy lodu i śniegu grały doniosłą rolę w greckich opisie „północnych” krajów. Rzeki greckie nie zamarały, dotykany śnieg był dla Greków zjawiskiem egzotycznym, na jego widok zachowywali się oni dziecinnie jak australijscy żołnierze w Jerozolimie w roku 1942, którzy częstowali się śniegiem jak cukierkami. (Por. „bajeczki” o lodzie w opisie Słowiańszczyzny pisarza arabskiego Ibrahima ibn Jakuba.)

Ustęp 7 zaczyna się od zdania: „In Alsatia sunt aque botales, Rhenus et Alsa, et torrentes multi et fontes atque putei multi”. Wyraz botales jest obcy łacińskiemu słownictwu, więc wydawca (Pertz) zastąpił go wyrazem potabiles „do picia, nadające się do picia” i każe nam czytać to miejsce tak: „W Alzacji są wody (nadające się) do picia Ren i Alsa (= Ill), liczne potoki i źródła, oraz studnie”. Ale to byłby nonsens. Zwierzętom nic się nie stanie, ale człowiek może umrzeć, jeśli będzie pić wodę z Renu. Poprawka nie jest tutaj potrzebna, bo wyraz botales jest dop. lp. greckiego wyrazu batale, co dosłownie znaczy „głęboka” (tj. „gruntowa” w przeciwieństwie do „morskiej”) słoność”. Hezych podaje znaczenie „krene a/1/myrias” = „źródło słoności” czyli „źródło solankowe”. Podstawą tego wyrazu była równobrzmiąca żeńska forma przymiotnika. Sugeruje to taką lekcję: „W Alzacji są wody gruntowej słoności (lub po prostu: słone wody), Ren i Alza, liczne potoki i źródła, oraz studnie”. Łaciński tłumacz nie rozpoznał tego wyrazu, więc go zostawił. Autor odnośnego miejsca, interesujący się nawet studniami, nie mógł nie słyszeć o słonych wodach, które są charakterystycznym zjawiskiem w tym małym kraju. Jest ich sporo. Mowa jest o nich w alzackich rocznikach, np. pod rokiem 1276 (fons salis oriebat). Od nich pochodzą nazwy tamtejszych miejscowości Sulz, Sulzbach, Sulzmat i inne. Nie brak w Alzacji także soli potasowej.

(Dokończenie na str. 4)

Nowa książka

w dziale

WYDAWNICTW DLA DZIECI:

ALICJI KISIELNICKIEJ

BIAŁE DZIECI NA CZARNYM ŁĄDZIE

z barwnymi ilustracjami Danuty Laskowskiej

CENA: SZYL. 7/6; DOL. 1.10.

Książka opowiada o wrażeniach polskich dzieci przy ich zetknięciu się z osobliwościami półdzikich krain Wschodniej Afryki. Powstała w obozie uchodźczym Koja, w Ugandzie, i dla byłych mieszkańców tego obozu będzie z pewnością szczególnie miłą i pożyteczną pamiątką.

Do nabycia u wydawcy:

w VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE

12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

BIBLIOTEKA POLSKA

W SUBSKRYPCJI NA MIESIĄC WRZESIEŃ:

JĘDRZEJ GIERTYCH

WRZEŚNIOWCY

Pierwsza w literaturze polskiej relacja o obozach jenieckich w Niemczech, napisana na podstawie własnych przeżyć autora w siedmiu obozach, w których kolejno przebywał, porawiając sześć razy próby wydobycia się na wolność. Wierne odtworzenie nastroju — życia w zamkniętych obozach w czasie, gdy ważyły się losy Polski, element przygody zawarty w opisie ucieczek, żywość narracji — wszystko to sprawia, że pamiętnik Jędrzeja Giertycha jest lekturą istotnie pasjonującą.

CENA W SUBSKRYPCJI do dnia 30 września bieżącego roku: 10 szyl.; 1.50 dol.; 600 fr. fr.

Zamówienia przyjmuje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

WYCIĄGANIE NAUK Z PRZESZŁOŚCI

Gdy nadchodziła jesień, a zwłaszcza początki września, prasa polska na wygnaniu od wielu, bardzo wielu, bo od siedemnastu lat, poświęcała dużo miejsca na artykuły wspomnieniowe z początku drugiej wojny światowej i artykuły oceniające polski w niej udział. Pisano na ten temat rzeczy słuszne i błędne, porywcze i spokojne. Z biegiem czasu skłonność zajmowania się tymi sprawami przygasła, obecnie początek sierpnia (wybuch Powstania Warszawskiego) i początek września (wybuch drugiej wojny światowej) mijają zaznaczane jedynie artykułami okolicznościowymi.

A przecież oba te tematy pod powierzchnią zdarzeń polskiego życia ciągle są narzmięte, która chce manifestować i znaleźć jakieś swoje ostateczne załatwienie. Dowodem, jak te sprawy drażą polską świadomość narodową, jest tegoroczny sierpień i wrzesień w prasie wychodzącej w Polsce. Po raz pierwszy od zakończenia działań wojennych pisarze, publicyści i zwykli ludzie w Polsce mogą mówić o tych tematach z jaką taką swobodą. Dawniej było możliwe jedynie powtarzanie oficjalnej wersji sowieckiej, przetłumaczonej na język polski. Toteż pierwsza okazja, nawet w swej ograniczonej postaci, otwiera tamy długo spiętrzanej energii i na łamy prasy w Polsce wylewa się lawina myśli i słów na owe dwa dojmujące każdego Polaka tematy.

Zanim przejdę do właściwej sprawy, chcę podkreślić owo ograniczenie okazji swobodnego pisania o najnowszej historii polskiej w prasie krajowej. Mimo pozorów, jest to ograniczenie poważne. Paru punktów tych ponurych i heroicznych czasów poruszać po prostu w Polsce nie można, a są to właśnie punkty, których brak w rozważaniach uniemożliwia w ogóle sprawiedliwą ocenę lat 1939-1945. Jeden przykład tylko. Wśród artykułów, które ujemnie oceniały celowość hekatomb Powstania Warszawskiego i które bez wyjątku niemal przerywały odpowiedzialność za wybuch Powstania Warszawskiego na „czynnik londyński” — nie znalazłem ani jednego, który by wspominał o historycznym wprost nacisku, o wielostronnej presji sowieckiej na rzecz wybuchu w Polsce powstania przeciw Niemcom w lecie 1944 roku. Z racji moich ówczesnych zajęć byłem w bezpośrednim kontakcie z całym materiałem propagandowym, z tekstami radiostacji Kościuszki, z literaturą ulotkową, z odezwami i apelami, jakie Rosja sowiecka za pośrednictwem tzw. Związku Patriotów Polskich kierowała do narodu polskiego. Wszyscy walczą — mówiła radiostacja Kościuszki — tylko Polacy czekają aż zostaną przez innych wyzwoleni! Dziś o tym pisać w Polsce nie wolno, choć wolno już pisać o powstaniu. Tylko, jak jego ocena wypada, gdy brak tak ważnego elementu do jej dokonania. No, cóż nie ukrywamy tego dalej: wolność słowa w Polsce obecnej, jest wolnością koncesjonowaną, wolnością z wypowiedzeniem.

Artykuły, które czytałem w prasie wychodzącej w Polsce na temat polskiej linii heroicznej w czasie drugiej wojny światowej oraz o romantycznym zrywie narodu w czasie Powstania Warszawskiego, starały się

rozpatrywać słusność wybrania tych właśnie reakcji z punktu widzenia rozumu politycznego. Czy tak należało zrobić, czy śmierć milionów była usprawiedliwiona, czy też to była cena za wysoka w stosunku do uzyskanych wartości? Muszę przyznać, iż bardzo wiele artykułów, rozważających te sprawy, odznacza się wysokim poziomem publicystycznym. Niektóre z nich mają wielką dojrzałość spojrzenia, w wielu uderza zdumiewająca, jak na polską publicystykę, cecha realizmu politycznego. Do najlepszych prac z tego zakresu zaliczam artykuł Stefana Kisielewskiego pt. „Dwie rocznice” w „Tygodniku Powszechnym” (nr 35/450*, 8. 9. 1957). Kisielewski aprobuje heroizm września, lecz przeciwstawia się całopaleniu Powstania Warszawskiego. Pierwszą ocenę przyjmuję bez zastrzeżeń, drugą uważam za nieprzekonywującą, właśnie przez realizm, taki jej realizm, który nie bierze wszystkich elementów sprawy pod uwagę.

Sądzę, że przy okazji tego rodzaju historycznych i historyozoficznych rozważań, dokonywanych w szóstym dziesiątku lat dwudziestego stulecia trzeba by wydobywać, oczywiście, obok wszystkich realiów przesłanek historycznych w jak najtrzeźwiejszych wymiarach, również i tę naczelną cechę historii naszego narodu, która się tak realistycznie wymierzyć nie da, ale która jest zawsze obecna i zawsze przytomna we wszystkim, co się w naszej historii dzieje. Tą cechą jest konieczność płacenia zawsze i we wszystkim nadceny za możliwość pozostania odrębnym narodem w tym zupełnie wyjątkowym położeniu geopolitycznym między Niemcami i Rosją. Można było tych wariacji heroicznych nie robić i żyć zyciem mniej więcej realistycznym, ale nie było by się wówczas dochoowało pełni odrębności kulturalnej w trzydziestomilionowej grupie ludzkiej.

I to jest chyba zagadnienie naczelnie przy rozpamiętywaniu tych historycznych lekcji w drugiej połowie dwudziestolecia. W drugiej połowie, to znaczy w czasie zasadniczego skracania się przestrzeni, redukowaniu ilości podmiotów politycznych do dwóch, całkowania ekonomicznego świata, słowem zstania się kuli ziemskiej w jedno. Dla nikogo z myślących politycznie nie jest tajemnicą, że idzie ku ostanii się jednego tylko podmiotu politycznego.

Z tego wypłylnie niechybna konsekwencja ułożenia się nowej formy współzycia międzynarodowego, jakiejś jednolitej metody współzycia różnorodnych, różnojęzycznych, o różnych kulturach narodów. W układ ten Polska wejdzie jako naród średniej wielkości, o ostro zarysowanych granicach odrębności kulturowej i kulturalnej. A to, że w takim charakterze staje na krawędzi nowego rozdziału dziejów, dokonało się dlatego właśnie, iż w poprzednich historycznych okresach (— nie wchodzą zbyt daleko wstecz, w okres np. jagielloński, bo to odrębne problemy) umiała się zdobyć na płacenie wyższej ceny za wolność, niż ją płaciły inne narody. Wszystko burzy się we mnie przeciw temu polskiemu romantyzmowi ofiary i poświęcenia, ale nie umiem zamknąć oczu na nieodzowność tego wątku naszych dziejów.

J. K.

Greckich śladów w tym zabytku jest więcej. Nie muszę się nimi tutaj zajmować, bo to, co powiedziałem, wystarczy dla wykazania, że mgr Kujawski myli się gruntownie. „Descriptio Alsatiae” albo jest przekładem greckiego tekstu w całości albo zlepkiem różnych spisanych podań greckich, przelożonych na język łaciński, z pewnymi wkładkami kompilatora. I to samo można powiedzieć o bliźniaczym źródle „Descriptio Theutoniae”, zaczynającym się od słów „Est locus (= „kraj”), kończącym się krótkim opisem Alzacji, w którym niemal dosłownie powtarza się początkowe zdanie właściwego opisu Alzacji z wyrazem locus w znaczeniu „ziemia, kraj”, i napisanym przez kogoś, który zwyczajem greckim zaliczał Teutonów — Germanów do ludów barbarzyńskich (in barbaris nationibus).

Nie wiadomo skąd się zabytki wzięły. Roczniki kolmarskie, które je przyjęły, milczą. Wyprawy krzyżowe, jak widać, robiły swoje.

Trzecim zabytkiem, na który się powołuje mgr Kujawski, jest najstarszy „Zywot św. Wojciecha” z 999 roku. Mgr Kujawski powiada, że „w żadnym wypadku podejrzewać nie można, by oryginał był pisany po grecku”. Oczywiście podejrzewać nie można. Ale można przypuszczać choćby na podstawie występującego tam wyrazu locus w znaczeniu „ziemia, kraj”, że istniał jakiś „Zywot św. Wojciecha” w języku greckim, wyzyskany w pewnej mierze przez autora najstarszego łacińskiego „Zywota”. W podobny sposób postąpił przecież z jego „Zywotem” św. Brunon, autor drugiego łacińskiego „Zywota św. Wojciecha”. Są i inne rzeczy, które zastanawiają. Np. wyraz Parthenopolis, grecki przekład niemieckiej nazwy Magdeburg, która w ogóle nie występuje w tym zabytku. Dlaczego pisarz łaciński posługuje się grecką nazwą? Magdeburg był rezydencją niemieckiego cesarza, siedzibą arcybiskupa Adalberta i miastem, w którym św. Wojciech studiował. Metropolita Adalbert, opiekun św. Wojciecha, nazywany jest arcybiskupem (archiepiscopus), ale i archimandrytą (archimandrita). Wyraz archimandrita w znaczeniu „arcybiskup” występuje wprawdzie sporadycznie na zachodzie, jednak, jak się wydaje, nie po prawej stronie Renu. A może nie było greckiego egzemplarza? Może istniał tylko grecki opis Boheimii, zaczynający się od tych samych szablonowych słów, co opisy Alzacji i Teutonii, z którego początek w łacińskim przekładzie dostał się do „Zywota św. Wojciecha” w taki czy inny sposób? Sprawa nie jest tak prosta, jak się p. Kujawskiemu wydaje.

Do wyżej omówionych źródeł odnoszą się słowa mgr. Kujawskiego: „Wyliczamy tylko niektóre, znajdujące się pod ręką”. Wygląda to, że mgr Kujawski zna jeszcze inne źródła z tym samym zjawiskiem, których nie miał pod ręką przy pisaniu swojego artykułu. Prosiłbym o ujawnienie tych źródeł.

Jeszcze kilka drobnostek. Mgr Kujawski powiada, że argument „locus” jest moim zasadniczym argumentem, co jest nieporozumieniem z jego strony. Nic by się greckiej teorii nie stało, gdyby się ten argument urwał. Kończąc zdaniem: „Omówiony tu krytycznie argument locus-topos okazuje się chybionym”. I to jest nieporozumieniem. Argument stoi.

Augustyn Steffen

ROZPOWSZECHNIĄJ
WŚRÓD SWYCH ZNAJOMYCH
»Z Y C I E«



Wypadki przejścia na katolicyzm zdarzają się ostatnio coraz częściej w kołach reprezentujących wielką politykę świata, a im bardziej jest znane nazwisko konwertyty, tym głośniejsze są echa jego decyzji, tym dłużej trwa zainteresowanie tą sprawą wywołane. Przejście na katolicyzm syna Fostera Dullesa, amerykańskiego sekretarza stanu, było szeroko komentowane przez prasę. Młody zakonnik, o Avery Dulles, sfotografowany został przez reporterów w chwili swego przybycia do Kolegium jezuickiego w Munster, w Niemczech, gdzie ma studiować przez dziesięć miesięcy.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ZYCIE KRAJU

Wznowienie pomocy katolików amerykańskich dla ludności w Polsce
Czy nie ma na to rady?
Ostatni akt

ZYCIE KATOLICKIE

Uroczystości dominikańskie w Rzymie
Kronika katolicka
„Osservatore Romano”

ZYCIE MIĘDZYNARODOWE

Próby opanowania opozycji pisarzy w Rosji
Czy zmierzch Zachodu jest nieunikniony?
Jugosławia o Odrze i Nysie
Kłopoty Francji

NAUKA I TECHNIKA

Jak dalece promieniowanie jest niebezpieczne?

ZYCIE KULTURALNE

„Son et Lumière” — Nowy rodzaj sztuki dramatycznej
Wystawa grafiki B. Tomeckiego
Str. 2, 3 — List arcybiskupa Gawliny do Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą

Listy do redakcji: Grecka hipoteza stoi — A. Steffen

Str. 4 — Punkty widzenia — J. K.
Str. 10, 11 — Notatnik podróżny (III) — M. Paszkiewicz
Str. 12 — Nasze sprawy — Polonus
Str. 16 — Ludzie i zdarzenia

Ż Y C I E

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁĘCZNO-KULTURALNY

ROK XI — NR 38 (535) LONDYN, NIEDZIELA, 22 WRZEŚNIA 1957

ŻYCIE KRAJU

Wznowienie pomocy katolików amerykańskich dla ludności w Polsce

Prowadzona na szeroką skalę i wielce użyteczna akcja charytatywna Katolickiej Hierarchii Amerykańskiej (N.C.W.C.) dla ludności w Polsce została w roku 1950 przerwana przez zarządzenia reżymu Bierutowego, co się łączyło z odebraniem „Caritasu” z rąk Episkopatu w Polsce. Obecnie następuje oficjalne wznowienie akcji, co zostało podane do wiadomości publicznej w dniu 3 września przez dyrektora N. C. W. C., ks. prałata Alojzego J. Wycisło, z zaznaczeniem, iż przed zainicjowaniem wszelkich formalności wysłano już awansem drogą powietrzną, na ręce Kardynała Wyszyńskiego lekarstwa wartości 70 tysięcy dolarów. 5 września miał wyruszyć do Polski transport okretowy zawierający 2.416 lb używanej odzieży, ogólnej wagi 230 tysięcy funtów i wartości 363.187,50 dolarów. Transport ten jest początkiem rozszerzonego w stosunku do poprzednich wysyłek programu pomocy, jaką katolicy amerykańscy chcą okazać ludności w Polsce. Program był omówiony w szczegółach z kardynałem Wyszynskim w czasie jego bytności w Rzymie, dokąd udał się także w tym czasie ks. prałat Wycisło. W nadesłanym niedawno do N. C. W. C. komunikacie Prymas Polski stwierdził, że władze w Polsce udzieliły temu programowi poparcia zapewniając transport łodowy i dostarczając wagonów kolejowych do rozdziału towarów pochodzących z tej pomocy charytatywnej. Kardynał Wyszyński nadmieniał przy tym, że dostawy w progra-

mie katolików amerykańskich będzie mógł otrzymać bez opłat celnych.

Wynika z tego rzecz najważniejsza, że nad rozdziałem nadsyłanych transportów z Ameryki, będzie miał pieczęć nie kto inny tylko J. Em. ks. kardynał Stefan Wyszyński.

Wyrażając zadowolenie z powodu wznowienia akcji pomocy katolików amerykańskich dla ludności w Polsce, pomocy tym bardziej pożądanej, że do potrzeb źle odżywianej ludności miast i wsi polskich doszły potrzeby tysięcy ludzi repatriowanych z Rosji, trudno się oprzeć zdziwieniu, że dopiero po jedenastu miesiącach od zmian październikowych zrealizowano wznowienie przerwanej przez szkodników komunistycznych akcji. Kto zna sytuację gospodarczą Polski (a któż jej nie zna?) i wielkie zubożenie ludności, temu nie chce się to pomieścić w głowie, że trzeba było prawie całego roku, aby tę pomoc znowu umożliwić. Przecież nie ulega chyba kwestii, że organizacja N. C. W. C. wznowiłaby akcję każdej chwili, gdyby miała na to zgodę rządu Gomułki i zapewnienie ułatwień w transporcie i rozdziale. Nie ulega też kwestii, że Ks. Prymas robił wszystko co możliwe, by wznowienie pomocy przyspieszyć. A jednak trwało to tak długo. Przez rok prawie ciągnęły się namysły, zanim udzielono ze strony rządu poparcia akcji, a ileż przez ten czas można by zaspokoić potrzeb...

Czy nie ma na to rady?

Od dłuższego już czasu cała prawie prasa krajowa bije na alarm, wskazując na szerzące się w Polsce pijaństwo. Z roku na rok wzrasta spożycie alkoholu — piją starzy i młodzi — piją nawet dzieci, a równocześnie ze wzrastającą konsumpcją wódki wzrastają wypadki chuliganstwa — obniża się gwałtownie poziom moralny młodzieży. Zdrowa część społeczeństwa dąży do władz zaostreżenia walki z alkoholizmem. Każdy prawie list pasterski naszych biskupów zawiera wolanie do wiernych, by zaprzestali spożywać alkohol, każde prawie kazanie wygłoszone przez duszpasterzy traktuje o skutkach pijaństwa, które zwłaszcza w ostatnich latach stało się prawdziwą plagą naszego narodu. A wbrew temu wszystkiemu spożycie alkoholu dalej wzrasta.

Już w roku 1952 do redakcji prasy krajowej zaczęły napływać masowo listy — głównie mężatek, w których kobiety zwracały uwagę na ujemne skutki pijaństwa w życiu rodzinnym. Całą serię takich listów ogłosił w kwietniu i maju 1952 r. „Głos Wy-

brzeża”. Zdesperowane kobiety zwracały w nich uwagę, że po przepiciu przez męża prawie całego zarobku, rodzina cierpi głód, domagały się od rządu zastosowania energicznych środków walki z alkoholizmem, w celu przywrócenia spokojnego życia rodzinnego.

Akcja reżymu i jej rezultaty. W połowie maja 1952 roku podniesiono cenę wódki o 40 procent. Odtąd litr wódki 40% kosztował 5,60 zł., zaś cena czystego 100% spirytusu podskoczyła do 126 zł za litr. Reżym, wprowadzając podwyżkę oświadczył, że był zmuszony podnieść cenę wódki, której spożycie w ostatnim czasie wzrosło niezmiernie.

W maju 1952 roku podwyższono cenę wódki o 40%, ale w dniu 29 grudnia tegoż roku pisał „Kurier Codzienny”, że stołeczna rada narodowa zanotowała w ostatnim kwartale tego roku — w samej tylko Warszawie — 5.290 wypadków chuliganstwa popełnionych pod wpływem alkoholu.

Reżym obniża znowu cenę wódki. Uchwałą Rady Ministrów z 14 listopada 1953 roku obniżono ceny różnych towarów. Przypomina-

my sobie dobrze, jakie to skutki miała ta obniżka, połączona ze zniesieniem systemu kartkowego. Ceny niektórych towarów podskoczyły wtedy trzykrotnie. Znikło ze sklepów wiele towarów codziennego użytku, a można je było dostać tylko na czarnym rynku.

Nie brakło natomiast nigdzie jednego towaru: wódki, której cenę obniżono znów o 10%. Utało się wówczas w Kraju zdanie, że wszystko jest drogie z wyjątkiem wódki.

Na podwyżce wódki w maju 1952 zyskał tylko skarb państwa, zaś stratę, jaką poniósł — przez obniżenie towarów — wyrównała większa konsumpcja alkoholu.

Tu nie należy zapominać, że przed wojną rząd tylko wytwarzał alkohol i sprzedawał go hurtem z magazynów monopolu spirytusowego. Po wojnie reżym nie tylko alkohol wytwarza, ale sprzedaje go detalicznie w swoich własnych sklepach. Zarabiał i zarabia do dnia dzisiejszego na hurcie i detalu, a alkohol sprzedaje się wszędzie: w sklepach, kioskach i kantynach fabrycznych.

W „Słowie Powszechnym” z 23 24 kwietnia 1955 roku czytamy, że np. Elbląg, miasto liczące 60.000 mieszkańców, wypija 30.000 litrów wódki w ciągu miesiąca, co pomnożone przez 12 daje 360.000 litrów rocznie. Jest to — jak pisze autor artykułu, Andrzej Bard — istna rzeka wódki. Wódka stanowiła wtedy 40% całego obrotu towarowego w tym mieście. A w innych miastach — pisze Bard — nie jest wcale lepiej. W Katowicach każdy robotnik przepija 10% swego dochodu.

W Rzeszowie pijana młodzież wałęsa się wieczorami po słabo oświetlonych ulicach. Cała ulica pachnie wódką. Jest tylko jedno kino, nie ma świetlic, nie ma ksiązek, gier i sprzętu sportowego. Jest tylko nowe urządzenie w istniejącej jednej świetlicy, bo stare rozbili doszczętnie chuligani. „Trybuna Ludu” z 27 października 1955 r. pisze, że ludność Kraju wydaje przeciętnie 11% dochodu na wódkę. W roku 1938 konsumpcja alkoholu wynosiła 1,3 litra na głowę ludności, podczas gdy w latach

1946 — 1,5 litra
1948 — 2,3 litra
1953 — 2,1 litra
1954 — 2,3 litra.

Szczególnie zastraszające — pisze „Trybuna Ludu” — jest pijanstwo wśród młodzieży. Specjalna komisja dla zwalczania pijanstwa stwierdziła, że przeprowadzone badania próbne 13.600 uczniów szkółnych wykazały, że 54,5% pije alkohol. Stwierdzono przy tym, że wódkę piją dzieci poniżej 10 lat. Robotnicy wskutek picia opuszczają pracę, rośnie z tej racji ilość wypadków nieszczęśliwych w fabrykach, a szczególnie na budowach.

Ustawa o zwalczaniu alkoholizmu. W dniu 27 kwietnia 1956 wydano ustawę o zwalczaniu alkoholizmu. Ustawa zabrania sprzedaży alkoholu w instytucjach naukowych, uczelniach, szpitalach i sanatoriach. Zabrania sprzedawania alkoholu powyżej 4,5% mocy młodzieży poniżej lat 18. Nie wolno sprzedawać wódki w hotelach robotniczych, bufetach oraz na boiskach sportowych, w domach kultury i domach turystycznych. W pociągach nie wolno sprzedawać alkoholu powyżej 18% mocy. W punktach sprzedaży wolno alkohol sprzedawać tylko w naczyniach zamkniętych, na których musi widnieć nazwa wytwórcy, rodzaj i moc alkoholu. Ustawa przewiduje leczenie alkoholiczków oraz stworzenie tzw. izb wytrzeźwień... Popętnienie w stanie pijanym przestępstwa nie uchodzi już dłużej za okoliczność łagodzącą. Kto w stanie pijanym maltretuje członka rodziny podlega karze więzienia do 5 lat; karze do

3 lat podlega ten, kto namawia małoletniego do picia alkoholu.

W dniu 3 marca 1956 roku „Trybuna Ludu” podała do wiadomości, że na sesji milicji obywatelskiej ujawniono, iż spożycie alkoholu wynosiło w Polsce 2,3 litra na głowę ludności i że w roku 1956 wzrosło do 2,9 litra a jeśli chodzi o Warszawę, to aż do 5 litrów. Rocznik statystyczny na rok 1956 (zamknięcie r. 1955) podaje spożycie alkoholu w następującej tabeli:

Rok	Wódki czyste i gatunkowe w przeliczeniu na 100 proc. w milionach litrów:
1931 do 1937 przeciętnie	31,8
1949	46,9
1950	57,6
1951	56,5
1952	57,6
1953	56,2
1954	60,2
1955	62,8

„Trybuna Ludu” z 1 lipca br. ogłosiła dalsze przerażające cyfry. Pismo stwierdza, że w pierwszej połowie 1957 r. spożycie alkoholu 100% wynosiło 40.885.000 litrów, co przeliczone na wódkę 45% daje 82 miliony litrów. Jeśli spożycie będzie takie same w drugiej połowie roku, to należy już dziś przyjąć, że do końca roku konsumpcja 100-procentowego alkoholu wzrosnie do 82 milionów litrów, czyli do 160 milionów litrów wódki. 45-procentowej.

7 litrów na głowę. Wspomnieliśmy wyżej, że według oświadczenia przedstawiciela M. O. spożycie alkoholu wzrosło w skali krajowej do 2,9 litra na głowę, zaś w Warszawie do 5 litrów. Cyfry te stają się jeszcze bardziej zastraszające, jeśli porównamy je z cyfrą ludności. Otóż zgodnie z Rocznikiem Statystycznym młodzież do lat 13 stanowiła około 10% ludności. Zaś ludność po-

wyżej 70 lat około 4%. Dla dokładniejszego ustalenia konsumpcji alkoholu, na głowę ludności należy przeto odliczyć około 15%.

Ludność Polski liczyła na końcu roku 1955 — 27.544.000. Zaś po odliczeniu tych dwóch grup, czyli 15% otrzymujemy liczbę 24.500.000. Przeliczona w ten sposób konsumpcja alkoholu w roku 1955 daje około 6 litrów na głowę ludności.

W lipcu 1957 było trochę ponad 28 milionów ludności. Przeliczona konsumpcja roczna 160 milionów litrów podnosi konsumpcję na głowę ludności do około 7 litrów, przy stałej zwykłej tendencji.

W dniu 13 sierpnia br. rada ministrów powzięła uchwałę, na mocy której cenę wódki podwyższono o 15%. W uzasadnieniu podano, że rząd zamierza w ten sposób zahamować nadmierne spożycie alkoholu, które osiągnięto w skali krajowej 2,3 litra czystego spirytusu na głowę mieszkańca, czyli 4,6 litra wódki 40-procentowej. Cyfry te — jak to przedstawiliśmy powyżej — są nieściste. Zresztą główny organ partii, „Trybuna Ludu” z 1 lipca br. wcale istotnego stanu rzeczy nie ukrywała.

Podając do wiadomości uchwałę, która weszła w życie w tym samym dniu, rada ministrów nie zaważała się przed ogłoszeniem przyrzeczenia zakrawającego na drwiny. Zwiększony dochód — mówi uchwała — będzie użyty na podwyższenie zarobków tym, którzy dotychczas z podwyżki nie skorzystali.

Te dwa uzasadnienia stoją ze sobą w sprzeczności. Nie można bowiem zwalczać spożycia alkoholu, a jednocześnie kalkulować ze spożycia wódki takiego dochodu, który by wystarczył na pokrycie podwyżek zarobków. Wiadomo zaś, że wódka stanowi artykuł najbardziej „chodliwy”, a dochód ze sprzedaży tej trucizny jest wprawdzie brudny, ale pewny.

A. Z.

OSTATNI AKT

Nad jeziorem Łebsko (Pomorze Zachodnie) leży wieś Kluki — jedna z ostatnich enklaw Kaszubów Słowińskich.

W 1863 były tu tylko dwie rodziny niemieckie. Słowińcy stosowali bezkompromisową izolację elementu niemieckiego, nie przyjmowali żadnych darowizn z rąk niemieckich, byli nieprzekupni. W 1884 władze zmuszone były stwierdzić, że dzieci słowińskie z Kluk nie znają ani jednego słowa w języku niemieckim. W 1945 — po wszystkich obłąkanych praktykach nacjonalistycznych hitlerystów — w Klukach mieszkało jeszcze kilkadziesiąt rodzin słowińskich.

Przetrwali wojnę — i stary Kirk, „kaszubski król”, prowadził żołnierzy rosyjskich przez nadleśne bagna. Słowińcy doczekali się Polski. Wiedzieli o swoim rodowodzie, mówili słowiańską mową, mieli własną, ludową kulturę i obyczaj, szukali ojczyzny w polskiej książce i mowie. Chcieli zaufać. Ale Polskę reprezentował tu „p o w i a t”. Powiat orzekł, że Słowińcy są ludnością trzeciej kategorii, powiat począł rządzić bezprawiem, pięścią, pogardą. Szukali prawa w Słupsku i Koszalinie, nawet w Warszawie. Województwo milczało, stolica milczała. Przyjeżdżał tu tylko dziennikarz. W ciągu 10 lat ukazały się w prasie 73 (słownie: siedemdziesiąt trzy) artykuły o tragedii słowińskiej. Spłynęły jak woda po gości; w Klukach rządził „p o w i a t” i tylko powiat. Słowińcy poczuli emigrować. Zza płeców powiatu nie było widać Polski.

Przyszedł Październik, ale do powiatu nie dotarł. Powiatowy bastion kacykowskiej głupoty politycznej umiał przetrwać. Po Paź-

dzierniku wyjechało z Kluk dalszych 14 rodzin słowińskich. Ostatni słowiński sołtys wioski Ruta Koetsch, żelżona przez pijanego „działacza powiatu” — wywiesiła na chałupie biało-czerwoną flagę i zgłosiła wyjazd do Niemiec.

Dopiero 1 sierpnia na cmentarzysko słowińskie w Klukach zjechała Komisja Sejmowa, władze, delegaci partii i zrzeszeń. Kilku ostatnich Słowińców oświadczyło, że rachunek krzywd jest zbyt duży, by można było mówić o wybaczeniu, ale mimo to pozostaną. Mimo wszystko chcą wrócić tutaj ci nawet, których wypędzono stąd bezkarną kradzieżą, łajdactwem, pogardą i wrogością. Chcą wrócić, bo tutaj jest ich ziemia, bo tutaj byli zawsze.

Zadają tylko jednego: p r a w a. I chcą, aby „w powiecie” zasiedli inni ludzie, swojacy. Innym nie zaufają już nigdy. Żądania te są nie tylko s ł u s z n e; są także n i e p r o p o r c j o n a l n e m a ł e w stosunku do rachunku krzywd.

Pytamy: W jakim terminie zasiada przed sądem inny dygnitarz powiatu odpowiedzialni za popełnienie niewybaczalnych przestępstw skierowanych przeciwko interesom polskości na Pomorzu Zachodnim? I kiedy udzielona zostanie odpowiedź na artykule redakcyjny pisma „Kaszebe”, organu Zrzeszenia Kaszubskiego, omawiający „Ostatni akt tragedii”? Odpowiedź nie słowna i nie pisana; odpowiedź faktów. Czy naprawdę dopuścił się do tego, by to co stało się w Klukach — było ostatnim aktem?

T. Zychiewicz

„Tygodnik Powszechny” z 8.9.57. Nr 35(450*)

ŻYCIE KATOLICKIE

UROCZYSTOŚCI DOMINIKAŃSKIE W RZYMIE

W bazylice Santa Maria sopra Minerva w niedzielę 22 września zostanie zakończone triduum ku czci św. Jacka uroczystością, na którą zaproszono przedstawicieli różnych zakonów i kongregacji, jako też duchowieństwo świeckie. W dniach 17-22 września odbywają się obrady zjazdu dominikanów nad kaznodziejstwem dominikańskim; codziennie jest zasadniczo trzy referaty w języku łacińskim, po trzy kwadransy każdy, z dyskusją. 22-go będzie Msza św. pontyfikalna i zamknięcie zjazdu.

O POMOC PRZECIW KOMUNIZMOWI

Gilbert Pongault, prezes Unii Wierzących Robotników Afrykańskich, która jest częścią Międzynarodowej Unii Syndykatów Chrześcijańskich, zwrócił się do Ruchu Syndykalnego Chrześcijańskiego Niemiec z prośbą o pomoc materialną dla obrony Afryki przed komunizmem. Rozwój syndykalizmu chrześcijańskiego w Afryce podzwrotnikowej, pod względem obszaru przewyższającej Niemcy sześciokrotnie, natrafia na wielkie trudności z powodu działalności komunistycznej. Tubylczy sekretarze syndykatu codziennie odbywają pieszo lub na rowerach po 30 km celem zorganizowania wierzących robotników. Nawet znaczne grupy muzułmanów dołączają do syndykatów chrześcijańskich, ponieważ są przekonane, że skutecznie oprócz potrafi się komunizmowi jedynie syndykalizm chrześcijański dzięki programowi społecznemu, opartemu na zasadzie sprawiedliwości społecznej. Pongault doceniając znaczenie niemieckiego syndykalizmu chrześcijańskiego zwraca się do wierzących robotników niemieckich z prośbą o pomoc ze względu na potrzebę wspólnego frontu ogólnoswiatowego w zwalczaniu materializmu. Syndykalny ruch niemiecki jako pierwszą pomoc zorganizował zbiórki pieniężną na zakupno jeepu dla Unii Wierzących Robotników Afrykańskich.

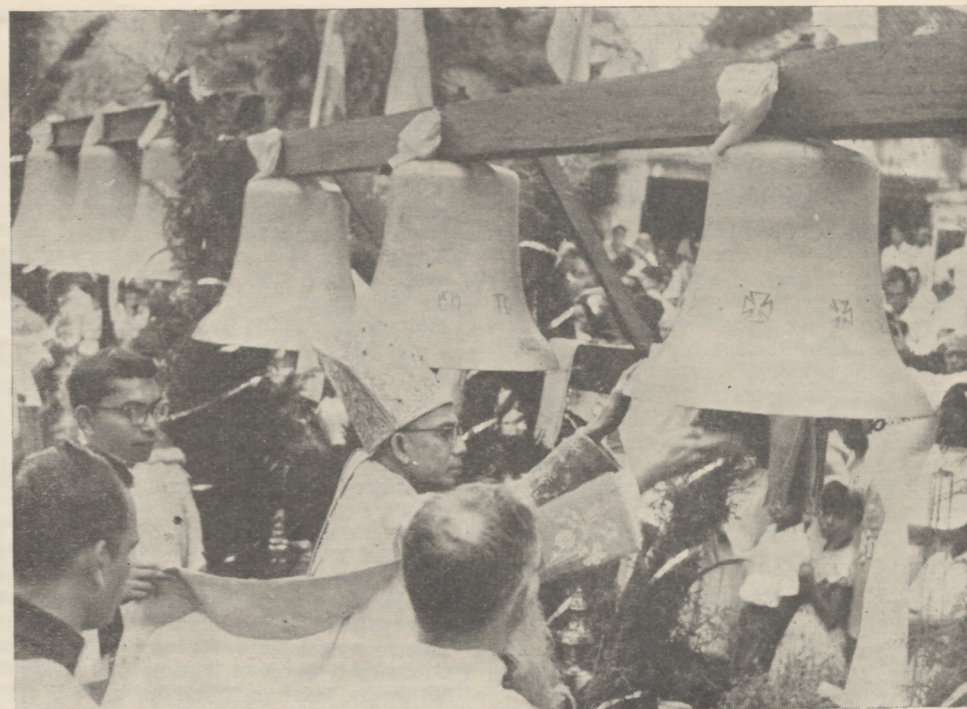
ENCYKLOPEDIA LITURGICZNA

Zasłużona we Włoszech z powodu setek tomów wydawnictw ukazujących się m. in. w cyklach (Collana) Edizioni Paoline wydały ostatnio w Collana „Musa” encyklopedię liturgiczną „Enciclopedia Liturgica”, tom o 1.200 stronach z 32 tablicami poza tekstem. Jest to tłumaczenie z francuskiego, przerobione i dostosowane do najnowszych zmian.

WAŻNE ROCZNICE

W obecnym roku mija 50 lat od ukazania się: 1) dekretu św. Kongregacji św. Oficjum „Lamentabili sane exitu” z 3 lipca 1907 (tzw. nowy Syllabus Piusa X) z potępieniem błędów modernistów o Kościele, Objawieniu, Chrystusie, Sakramentach; 2) encykliki „Pascendi Dominici gregis” z 8 września 1907 o fałszywych doktrynach modernistów; 3) motu proprio „Praestantia Scripturae” z 18 listopada 1907 o powadze orzeczeń Komisji Biblijnej, zarazem z potwierdzeniem obu wymienionych dokumentów.

Dekret „Lamentabili sane exitu” podaje listę 65 błędnych twierdzeń modernistów. Encyklika „Pascendi Dominici gregis” omawia szczegółowo błędy głoszone przez zwolenników modernizmu, najgroźniejszej z no-



Uroczystość konsekracji 25 stalowych dzwonów, odlanych w Niemczech dla kościoła Wszystkich Świętych w Korelli na Cejlonie. Konsekracji dokonuje arcybiskup Kolombo J. E. dr. Tomasz Cooray. Jest to pierwsza tak okazała dzwonnica w Azji.

wczesnych herezji, podaje jako przyczyny błędów ciekawość, pychę, nieznaną prawdziwej filozofii i wskazuje środki radzące w zakresie studiów filozoficznych, teologicznych i świeckich, ostrożność w wyborze profesorów dla kształcenia przyszłych duchownych. Motu proprio „Praestantia Scripturae” karze ekskomunikację ipso facto tych, którzy powazyliby się głosić potępione błędy modernizmu.

Rocznica 50-lecia ukazania się tych po dziś dzień aktualnych dokumentów Stolicy Apostolskiej skłoniła Papieską Akademię Teologiczną Rzymską do powzięcia decyzji wydania specjalnego zeszytu „Divinitas”, naukowego organu Akademii, ukazującego się trzy razy do roku, od kwietnia roku obecnego począwszy.

Inny zeszty tegoż wydawnictwa ma być poświęcony także ważnej rocznicy, mianowicie 1900-leciu napisania przez św. Pawła Listu do Rzymian, który według powszechnej opinii egzegetów został napisany w roku Pańskim 57-58. Ażeby godnie uczcić tę rocznicę, Papieska Akademia Teologiczna Rzymska rozpocznie w październiku Rok Pawłowy-Rzymski.

WYDANIE WSZYSTKICH DZIEŁ SAVONAROLI

We Florencji, w roku 1952, w 500 rocznicę urodzin Hieronima Savonaroli powstał pod przewodnictwem znanego w świecie burmistrza miasta, Giorgio La Pira, komitet wydania wszystkich dzieł Savonaroli. Komitet cieszy się poparciem rządu włoskiego i dlatego wydanie nosi nazwę „wydania narodowego włoskiego”. Całość obejmuje 22 tomy i podzielona będzie na pięć części: kazania, pisma dotyczące ascezy i moralności, prace apologetyczne, prace filozoficzne, prace dotyczące polityki i kontrowersyjne. Dotychczas ukazały się 4 tomy kazań o księdze proroka Ezechiela i Księdze Wyjścia (łącznie ponad 1.500 stron).

»OSSERVATORE ROMANO«

Sroda 21 sierpnia: przemówienie Papieża (w języku hiszpańskim) do uczestników pielgrzymki z Barcelony; artykuł: „Czy socjalizm może być demokratyczny?”

Czwartek 22 sierpnia: artykuł na uroczystość Niepokalanego Serca Maryi: „Misja apostołska rodziny w obecnej chwili”.

Sobota 24 sierpnia: śmierć kardynała Giovanni Mercati, bibliotekarza i archiwisty Kościoła katolickiego, w wieku lat 91 (ur. 17 grudnia 1866); artykuł: „Aspekty życia polskiego”; w kościele Jezusa Nazareńskiego w Rzymie triduum przygotowawcze do uroczystości Matki Boskiej Częstochowskiej 23, 24 i 25 sierpnia, sama uroczystość 26 sierpnia.

Poniedziałek - wtorek 26-27 sierpnia: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do Pielgrzymki-Kongresu Katolickiej Młodzieży Robotniczej J.O.C.

Sobota 31 sierpnia: odpowiedź św. Kongregacji Rytów na pytanie w sprawie kształtu szat liturgicznych.

Poniedziałek-wtorek 2-3 września: list Papieża (w języku łacińskim) do kardynała Józefa Ernesta van Roey, arcybiskupa Malines w Belgii, z okazji 60-lecia jego święcen kapłańskich.

Piątek 6 września: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do wychowanków małych seminarów we Francji.

ŻYCIE KULTURALNE

„SON ET LUMIÈRE” NOWY RODZAJ SZTUKI DRAMATYCZNEJ

Widowiska „Son et lumière” odbywające się obecnie już w dwudziestu różnych miejscowościach Francji, ściągają coraz większe tłumy widzów, zarówno spośród samych Francuzów, jak cudzoziemców. Odbywają się one — należy do ich istoty na tle historycznych pałaców, zamków czy innych miejsc zabytkowych, które stanowią jak gdyby ich wielkie dekoracje. Element „światła” polega na bardzo wymyślnym i hojnym operowaniu reflektorami, na bardzo różnorodnej grze ich światła i odcieni. Element „dźwięku” — na używaniu nie tylko mowy ludzkiej, ale także innych wrażeń dźwiękowych — i to w taki sposób, by wrażenia te były w „ruchu” — oddalając się czy zbliżając, rosnąc czy cichnąc. Brak natomiast widoku grających aktorów — cały efekt wpływa z niezwykle pomysłowej gry reflektorów, oświetlających historyczne budynki i innych wrażeń dźwiękowych.

Przezwyciężone trudności. Owe widowiska-słuchowiska zapoczątkował pięć lat temu p. Robert-Houdin, kurator najpiękniejszego z zamków w dolinie Loary, Château de Chambord. Jest on — jak podało jedno z pism — wnukiem słynnego swego czasu kuglarza, którego pomysłowość i zręczność była tak duża, że rząd francuski sto lat temu wysłał go do Algierii, by zwalczał tam wpływy czarowników arabskich. W pewnym znaczeniu i wnuk jego jest magikiem, który używa zdobytych wiedzy dla stworzenia nowego typu wrażeń artystycznych.

Opowiada on, że pomysł tych widowisk przyszedł mu do głowy, gdy kiedyś podczas burzy widział budynek Château de Chambord na przemian w świetle błyskawic i potem znów w ciemności. Od lat już myślał nad tym, w jaki sposób zrobić z pałacu rzecz żywą, a nie tylko jeden z dawnych zabytków zwiedzanych przez turystów przy pomocy przewodników. Burza wskazała mu sposób rozwiązania tego zagadnienia. Dodajmy, że niewątpliwie do jego rozwiązania przyczynił się też rozpoczęły jeszcze przed ostatnią wojną, a obecnie bardzo rozpowszechniony we wszystkich krajach, posiadających piękne zabytki, zwyczaj oświetlania ich reflektorami.

Przez kilka lat p. Robert-Houdin próbował na próżno zainteresować władze swym pomysłem. Wreszcie któregoś dnia prefekt dał się przekonać i sprawa została skierowana do ministerstwa sztuk pięknych, które wyznało subsydium w wysokości 13 milionów franków, co stanowiło minimum nakładu potrzebnego do instalacji. Powodzenie było od początku ogromne. Suma 13 milionów zwróciła się w ciągu dwóch miesięcy. Liczba widzów wzrosła z 50.000 w r. 1950 do 200.000 w r. 1954.

Wersal w ciągu swej historii. Szczególnie wspaniałe charakter mają te widowiska w Wersalu, gdzie dochód z nich przeznaczony jest na restaurację pałacu królewskiego. Koszty urządzenia widowiska wyniosły tam dobre kilkadziesiąt milionów franków, co nie jest dziwne, gdy się zważy, że Wersal wraz ze swymi ogrodami i tarasami potrzebował ponad 50 kilometrów kabla i tysiąca reflektorów o sile od 500 do 3000 watów. Mimo to czysty zysk z tamtejszych widowisk wyniósł już ponad sto milionów franków. Z zysku

tego został odrestaurowany dawny teatr pałacowy, „najpiękniejszy teatr Europy” na przyjęcie królowej brytyjskiej.

Widowisko w Wersalu ukazuje szereg fragmentów z dziejów Francji. „Panie i Panowie — Król!” — okrzyk ten powtarza się za każdym razem, gdy zdają się otwierać drzwi nowej galerii pałacu i staje się coraz bliższy. Wreszcie słychać wyraźnie uderzenia laski mistrza ceremonii — i głosy ludzkie. Komentator opisuje osoby, biorące udział w akcji, których nikt nie widzi. Głos Madame de Montespan mówi do głosu Madame de Maintenon: „Śniło mi się dzisiejszej nocy, że spotkaliśmy się na wielkich schodach pałacu. Szłam na górę, a pani schodziła na dół...” Światło reflektorów gaśnie na wielkiej fasadzie pałacu od strony parku i pojawia się znowu na wieży kaplicy pałacowej. W ciszy rozbrzmiewa dźwięk organów. Komentator oznajmia, że król właśnie poszedł modlić się...

Nie widać królów, ani Ludwika XV ani Ludwika XVI, nie widać królowej Marii Antoniny ani Madame Pompadour. Nie widać kroczących w pochodzie kobiet Wielkiej Rewolucji, ale słychać zbliżanie się pochodu do pałacu wersalskiego i głośny rozgwar nadchodzących tłumów. Właśnie pod wrażeniem tej sceny jeden z krytyków wyraził się, że „Son et Lumière” stanowi nową sztukę dramatyczną i to bardzo wymagającą, bowiem wprowadza ona złudzenie dźwięku i ruchu.

W trakcie widowiska słychać głosy coraz to innych osobistości z dziejów Francji, ilustrujące bądź jakieś ważne wydarzenia, bądź ducha epoki. Słychać więc głosy Moliera, Wiktora Hugo, Napoleona III i „starego tygrysa” Clémenceau. Głosy te odtwarzają wybitni aktorzy, jak Charles Boyer i inni, teksty zaś napisane zostały przez André Maurois i Jeana Cocteau. Są one nagrywane na taśmy i podobnie jak inne efekty dźwiękowe rozprawdane przez głośniki. Widowisko odbywa się trzy razy tygodniowo i zawsze ściągają tłumy słuchaczy.

Zamki nabrały życia. Widowiska w Château Chambord i w Wersalu dały impuls do urządzenia podobnych imprez i w innych miejscowościach. Z wielkiego dębu w Domremy słychać głosy, wzywające Joannę d'Arc, by wzięła sztandar do ręki, dosiadła konia i ruszyła ratować Francję. Na tle Mozy rozlegają się dźwięki oratorium, a reflektor oświetla wieżyczkę kościółka wiejskiego w Domremy.

Pałac w Compiègne stanowi dekorację dla wyimaginowanej lekkiej opery. Widowiska

„Son et Lumière” przyczyniły się do ożywienia wielu zapadłych i podupadających zakątków Francji. Jedno z pism opisuje, jak „Son et Lumière” stały się źródłem dobrobytu dla jednej z zamierających wsi i całej okolicy. Wieś stała się celem wycieczek, a nawet letniskiem; odnowiono zaniedbane fasady domów, powstały nowe sklepy. Starsze panie, które poprzednio popadły w biedę, dziś przekształciły swe wielkie mieszkania na pensjonaty i wynajmują pokoje przyjeżdżającym widzom i turystom. Niektóre stare zamki mające ulec rozbiórce, gdyż właściciele nie mogli poddać wysokim kosztom ich utrzymania i podatkom, zostały uratowane w podobnych okolicznościach. To samo pismo podaje historię, jaką opowiadał markiz de Mauduis. W roku 1953 zdecydował się on wysadzić w powietrze dynamitem zamek swoich przodków, nie zamieszkały już od trzydziestu lat. W ostatniej chwili otrzymał od jednego z przyjaciół z Paryża propozycję wynajęcia zamku, ofiarowując tytułem dzierżawy milion franków rocznie. Markiz zastrzegł się, że zdaniem jego te stare mury nie warte są takiej sumy, propozycję jednak przyjął. Jego przyjaciel na podstawie kontraktu dzierżawy na kilka lat zainwestował 40 milionów franków w zaopatrzenie zamku w urządzenia świetlne i dźwiękowe, potrzebne do widowiska, złożył wiele kilometrów kabla, zrobił dużą reklamę, wreszcie zbudował wielki garaż i restaurację, modernizując zarazem sąsiedni hotel. Na amortyzację wydatków czekać trzeba było mniej niż trzy lata. Widowisko kosztuje rocznie 3 miliony franków, przynosi za to 17 milionów.

W innych krajach. Widząc sukcesy, jakie „Son et Lumière” odniosło we Francji, także inne kraje próbowały zorganizować coś podobnego u siebie. Jak się zdaje, do tej pory powiodło się to tylko w pewnym zakresie w Wielkiej Brytanii — wydawnictwo dziennika „Daily Telegraph” zorganizowało mianowicie taką imprezę na tle dawnego pałacu królewskiego w Greenwich, wzniesionego staraniem króla Karola II, przy czym w urządzeniu widowiska pomocny był p. Robert-Houdin.

Inicjatywy urządzenia widowisk „Son et Lumière” w Szwajcarii i w Niemczech zachodnich nie dały do tej pory wyników. Dzienniki niemieckie stwierdzają, że przyczyną tego w ich kraju jest fakt, iż społeczeństwo niemieckie jest mniej zainteresowane historią swego kraju niż francuskie, a poza tym może mniej chętnie spogląda wstecz.

WYSTAWA GRAFIKI BRONISŁAWA TOMECKIEGO

W sali polskiej YMCA mieści się wystawa grafiki (drzeworyty i linoryty) przybyłego z Polski artysty Bronisława Tomeckiego. Z artystą, który jest profesorem w warszawskiej Szkole Przemysłu Artystycznego, i który przybył wraz z synem na kilka tygodni do Wielkiej Brytanii, udało mi się przeprowadzić krótką rozmowę, czemu zawdzięczam następujące szczegóły biograficzne:

Bronisław Tomecki urodził się w Sosnowcu w roku 1903, wyższe studia malarskie ukończył w roku 1935 na USB, gdzie był uczniem m. in. znakomitego malarza Ruszczyca. Studiował malarsko monumentalne i na początku swej kariery artystycznej wykonał szereg obrazów olejnych, malował również kościoły, potem jednak przeniósł się na akwarele, by obecnie nieomal całkowicie poświęcić się grafice.

Przed wojną Tomecki wystawiał w Poznaniu, Katowicach, Wilnie, Sosnowcu i Warszawie (w Zachęcie w roku 1939). W czasie okupacji niemieckiej nie wystawiał.

Po wojnie bierze żywy udział w rozwoju i organizowaniu na nowo życia artystycznego. Pierwszy raz po wojnie wystawia w roku 1946 w Muzeum Narodowym w Warszawie, na tzw. pierwszym salonie wiosennym, a od roku 1955 jego prace są stale na dorocznych tzw. okręgowych wystawach w Warszawie. Łącznie wystaw indywidualnych ma po wojnie ponad 20, w tym trzy w roku obecnym, nie licząc tej, która jest obecnie w YMCA i wystawy grafiki w londyńskim SPK.

Poza pracą pedagoga wykonuje prace rysunkowe do pism. W jednym z ostatnich numerów pisma poświęconego zabytkom Warszawy ukazało się sprawozdanie z ostatniej wystawy jego obrazów i rysunków i reprodukcja jednego z drzeworytów.

Na wystawie obecnej oglądamy: „Poznań — kościół św. Rocha”, „Pejzaż podkarpacki”, „Warszawę, dziedziniec przy ul. Piwnej”, „Kraków — kościół Mariacki”, „Stara Warszawa”, „Warszawa — schodki na Bugaju”, „Kościół w Międzygórzu”, „Stary Zywiec”, „Widok z okna mieszkania artysty w Warszawie”, „Nad Świteznią” i wiele innych.

Mniej więcej połowa obrazów — to drzeworyty, połowa linoryty. Są one jedno lub dwubarwne. Oglądając grafikę Tomeckiego myślimy o przedwojennej grafice polskiej, która była przodującą w świecie, z takimi artystami jak Chrostowski, Bartłomiejczyk na czele.

Prace Bronisława Tomeckiego uderzają oryginalnością, artysta ma wybitnie własny sposób patrzenia, nie widać wzorowania się na innych artystach, o uznanych w grafice nazwiskach, że choćby — jeśli chodzi o Warszawę — wymienić Cieslewskiego — syna.

Poszczególne drzeworyty Tomeckiego czy linoryty są wykonane różnymi sposobami cięcia materiału, co wskazuje na wielką różnorodność możliwości technicznych, jakimi artysta dysponuje. Wszystkie jego prace posiadają jednolitą atmosferę i dużą prostotę, którą spotyka się u wytrawnych artystów.

Chociaż nie ma w tej wystawie niczego sensacyjnego i choć jest ona nieco starszowiecka, warto ją obejrzeć a także zastanowić się nad okazją nabycia tych drzeworytów i linorytów (po 2 do 3 gwinej).

Poza wartościami ogólnoartystycznymi wystawa ma również cenny ładunek polskości, pokazując nasz Kraj w jego ciekawej architekturze ze starymi kościołami na pierwszym planie.

Stefan Legeżyński

NAUKA I TECHNIKA

JAK DALECE PROMIENIOWANIE JEST NIEBEZPIECZNE?

W nrze 51 ZYCIA była mowa o skutkach promieniowania na organizmy żywe. Problem ten żywo interesuje tak szeroką publiczność, jak i sfery fachowe. Nie dziw więc, że spór, jak dalece promieniowanie w epoce atomowej jest szkodliwe dla zdrowia ludzkości, trwa nadal, a rozstrzygnięcie jego jest niezmiernie trudne, gdyż — jak to wyraźnie podkreśla ogłoszone w połowie kwietnia oświadczenie Radiation Hazard Committee (którego przewodniczącym był Polak, prof. Rotblat) — brak danych doświadczalnych zmusza nas do opierania się wyłącznie na hipotezach i założeniach mniej lub więcej prawdopodobnych.

Niebezpieczeństwa promieniowania pochodzą z trzech źródeł: pierwsze — to naswietlenie promieniami Roentgena, drugie — to promieniowanie wydzielane przez stopy atomowe, trzecie — jest promieniowanie w czasie wybuchów próbnych bomb atomowych, a zwłaszcza wodorowych. Obecne środki zabezpieczenia stosów atomowych są całkowicie wystarczające, aby ich promieniowanie, podobnie jak promieniowanie ich produktów odpadkowych, sprowadzić do normy bezpiecznej, nawet przy najbardziej pesymistycznych obliczeniach.

Natomiast niebezpieczeństwo prześwietlenia (które — jak to wyrika z opublikowanego dwa lata temu oświadczenia kół naukowych amerykańskich i angielskich — jest dotąd niebezpieczeństwem największym), zostało w opinii publicznej niewątpliwie przeobrzymione. Jak to podkreślono w kwietniu na konferencji British Tuberculosis Association w Oksford, obawa przed prześwietleniem, wywołana przez te oświadczenia, spowodowała wiele szkody. Niechęć do prześwietlenia płuc z obawy skutków promieniowania może łatwo doprowadzić do rozwoju suchot, w swym wyniku znacznie bardziej szkodliwych, niż hipotetyczne niebezpieczeństwo dla przyszłych pokoleń, a nieprześwietlenie łona ciężarnej matki, gdy zachodzi obawa komplikacji przy porodzie, stanowi znacznie większą groźbę dla niemowlęcia, niż ewentualne ujemne skutki prześwietlenia.

Oczywiście, w wyniku badań skutków promieniowania większość instalacji roentgenowych została odpowiednio osłonięta, aby uniemożliwić wyciek promieni, ale nawet i bez tego, jak powiedział dr Mole na tej konferencji, osoba, która z obawy przed promieniowaniem nie pozwala sobie prześwietlić nogi w buciku przy jego kupowaniu, naraża się na znacznie większe niebezpieczeństwo przy przechodzeniu ulicy dla kupna innej pary bucików, niż to, które jej mogło grozić na skutek prześwietlenia.

Podobnie przedstawia się i sprawa obaw przed opadami przy doświadczeniach bomb wodorowych, obaw podsycanych przez propagandę Rosji, która po pięciu własnych wybuchach wodorowych na tak potężną skalę, że w sąsiedniej Japonii podniosły się alarmy, w 10 dni później zaczęła gwałtownie protestować przeciw zapowiedzianej pierwszej próbie wodorowej bomby angielskiej.

Jak wynika z orzeczeń komisji prof. Rotblata, kontynuowanie obecnego tempa wybuchów atomowych, zwiększyłoby promieniowanie na ziemi o jeden procent promieniowania ze źródeł naturalnych, nie miało-

by więc żadnego wpływu na zdrowie ludzkości. Wszak mieszkańcy miejscowości Dender, w Colorado, żyjący na wysokości 5.000 stóp, powiedział dr Libby z Amerykańskiej Komisji Energii Atomowej, otrzymują dwa razy więcej promieni kosmicznych, niż mieszkańcy dolin, a przecież im to jakoś nie szkodzi. A jeśli chodzi o — niewątpliwie najgroźniejszą — niebezpieczeństwo strontu 90, który osiadając w kościach może być bodźcem wywołującym raka, to — jak wynika z orzeczenia komisji prof. Rotblata — wszystkie dotychczasowe próby bomb wodorowych, jakie przeprowadzono do końca 1956 roku, zwiększą promieniotwórczość kości ludzkich do 1970 roku o 9 do 45 procent ich promieniotwórczości naturalnej, pochodzącej m. in. z potasu promieniotwórczego i radu, które w drobnych ilościach zawsze znajdują się w kościach.

Jest to akurat takie niebezpieczeństwo dla organizmu, powiada dr Libby, jak gdyby człowiek osiedlił się o 200 stóp wyżej niż mieszka obecnie. Nie przesadzajmy z „dozą bezpieczeństwa” — dodaje dr Mole — gdyby bowiem tę samą regułę zastosować do papierosów, które przecież również są źródłem raka, to „dozwolona doza” wyniosłaby ułamek papierosa dziennie. A gdyby zastosować ją do ruchu samochodowego, należałoby ilość samochodów zmniejszyć co najmniej tysiąc-krotnie.

Jeśli nawet przyjąć — wyraźnie podkreślono jako najbardziej pesymistyczne — obliczenia komisji dr. Rotblata, to każda megatona bomby wodorowej, jaka wybuchła, grozi możliwością wywołania raka kości u 1000 osób na całej kuli ziemskiej. I to tylko wtedy, gdy wybuchy bomb wodorowych będą dawać tę samą ilość strontu 90, co obecnie. A wiemy, że można tego uniknąć, zastępując skorupę uranową bomby — główne źródło strontu — skorupą z innego metalu ciężkiego, jak to planują Anglicy. Ponadto, jak wykazał chemik amerykański W. J. Lacy, niektóre sproszkowane glinki, przemieszane z zakażoną strontem 90 wodą, w ciągu pół godziny usuwają 65 do 100 procent jej promieniotwórczości.

A wreszcie zachodzi pytanie: co jest gorsze: czy przypuszczalna obawa raka kości u kilku tysięcy osób na ziemi (stanowiąca tylko drobny ułamek tych zachorowań z innych przyczyn) w wyniku wybuchu próbnych bomb wodorowych, czy pewność rozpaczliwej nędzy milionów jednostek ludzkich i dalsze ich wytopienie w razie gdyby komunizm miał zapanować nad światem? **T. F.**

RZEMIOSŁO ZAWSZE I WSZĘDZIE ZABEZPIECZY BYT!

Chcących pracować w przemyśle drukarskim nauczymy specjalności w dziale cecerskim linotypowym i maszynowym. Po ukończeniu praktyki zatrudnimy i.a. stałe.

Pierwszeństwo mają kandydaci od lat 14 do 25.

Praktykującym płacimy. Podwyżka okresowa w zależności od postępów i zdolności ucznia.

Poszukujemy wykwalifikowanych linotypistów, cecarów, maszynistów i intraligatorów.

Zgłoszenia

Veritas Foundation Press
(Katolicki Ośrodek Wydawniczy)
12 Praed Mews, London, W. 2.

J E Ś L I L E K I,
T O Z A P T E K I

M. B. GRABOWSKI

P a m i ę t a j : Właściwy lek z właściwych rąk.

WSZELKICH INFORMACJI UDZIELA:

APTEKA M. B. GRABOWSKI

175 Draycott Ave., London, S. W. 3.

Tel.: KEN 0750 i 9656

Toledo — Guadalupe 24 sierpień

Madryt mineliśmy bez postojów. — Wielkie nowoczesne miasto, przed którego hałasem i natrętną elegancją uciekaliśmy tylokrrotnie do Sol Prado, do Armuerii w Pałacu Królewskim, gdzie tak łatwo zapomnieć o wieku maszyny i technostwa wśród wspaniałych zdobnych mieczów i zbroi królów-bohaterów i ich świętego rycerstwa.

Nawet w Toledo — w najukochańszym Toledo — zatrzymaliśmy się tylko na dzień jeden — tyle, ile potrzeba by odwiedzić El Greca w San Vincente i San Tome, oraz chimery na górnym krążanku podwórza San Juan de los Reyes, oraz nabrać zdrowego, starego powietrza w czasie spaceru nocą po ciemnych uliczkach.

Wyjechaliśmy w południe przez most św. Marcina na Polan i Novahermosa do Guadalupe po raz pierwszy ryzykując 180 kilometrów szosy trzeciej klasy „z kreskami”. — Termin „z kreskami” ma swoją wymowę dla każdego posiadacza map turystycznych Michelina. Czerwone kreski, a tym bardziej krzyże przecinające na tej mapie drogę, nie wróżą nic dobrego: w najlepszym razie przeraźliwe wyboje, w najgorszym — kamienisty trakt, na którym kiedyś powstać na szosę, co sygnalizuje natłuczony po skrajach rowów szuter i skoncentrowane co kilkanaście kilometrów beczi z asfaltem przerywające monotonna rozpacz podsłakującego jak piłka na siodełku motocyklisty. Droga na Guadalupe brana była pod uwagę i dyskutowana od czerwca — kiedy zaczął się decydować konkretny kształt tegorocznej włości. Wreszcie zwyciężyła ciekawość. Zbyt wiele na tej drodze uśmiechało się do nas dziwnych miasteczek, zamków i urody ziemi, notowanej skrzętnie przez mitycznego pana Miche-

lina na jego mapach zieloną linią towarzyszącą drodze. A przy tym poczucie, że będziemy wreszcie sam na sam z tą krainą wysuszoną upałem, ubogą niby, a tak rozrzuconie bogatą w naturalny urok i dzieła ludzkich rąk, gościnną i serdeczną a dumną. Nie zawiedliśmy się. Na stu osiemdziesięciu kilometrach nie rapotkaliśmy ani jednego motocykla, jeden tylko zakurzony samochód ze zdenerwowanymi Francuzami dopytujacymi się gorliwie o odległość do początku jakiejś takiej drogi. Od czasu do czasu jucne osły i muły obciążone snopkami, nieco wozów zaprzężonych w woły, nielicznych wieśniaków w polu i pasterzy pasących kozy na kamienistych wzgórzach. Z jednym z nich wdaliśmy się w rozmowę podczas krótkiego postoju. Uprawiał swój roztropny zawód wśród malowniczo dzikiego krajobrazu. Świat jego był niewielki: ograniczały go okoliczne wzgórza. Madryt był równie odległy i nie-realny jak Pekin czy Toronto. Bliższymi już zdawały się gwiazdy i księżyc, które przynajmniej zobaczyć można nocą. W tym małym świecie poruszają się jednak bezpiecznie i pewnie nie zarażony niepokojem ani ciekawością. Nad wąwozem latały dziwne zielone ptaki, a kozy biegały zgrabnie po głazach z boczka. Pałac papierosy mówiliśmy w najprostszyc słowach o urodzajach, o soczystości traw i granicach świata, który przecinała zła, kręta droga.

U początku tej drogi, za Toledo, gdy zjechać o niecały kilometr w prawo, trafia się do zamku Guadamur — jednego z najlepiej w Hiszpanii zachowanych zabytków architektury obronnej z połowy XV wieku. Wzniesiony przez Pedro Lopez de Ayla nie przestał być do dziś rezydencją magnacką. Markiz dba oń i uzupełnia zabytkowe umeblowanie

oraz kolekcję dzieł sztuki zrabowaną i zniszczoną przez czerwonych w czasie wojny domowej. Przyjechaliśmy do wioski wczesnym popołudniem, kiedy upał zgania ludzi do domów na posiłek i siestę. Objechawszy wkoło wysoki mur zamkowego ogrodu zatrzymaliśmy się bezradni. Poszukiwania klucza do bramy prowadzone dla nas ofiarnie przez gwardzistę z lokalnego posterunku Guardia Civil, sklepikarkę i kilka dzieciaków nie dały rezultatu. Wyglądało na to, że trzeba będzie czekać do końca siesty lub zrezygnować ze zwiedzania i ruszyć w dalszą drogę. Staliśmy przy motorze u wylotu drogi łączącej wioskę z szosą. Przechodzący chłopak pozdrowił nas i wszczął techniczną rozmowę o sile i zaletach motocykla. Okazał się być jednym ze sług markiza i zaprowadził nas natychmiast do ciężkich, ciemnych komnat, kładąc swój tkany wiatrem, słomiany kapelusz z szacunkiem u kamiennego, średnio-wiecznego progu. Gdy po dwóch godzinach opuszczaliśmy chłodne wnętrza, rozmowa zesłała znowu na motocykl. Naszemu przewodnikowi tak się doń oczy świeciły, że Janusz nie miał serca odmówić niemej prośbie zawartej w zachłannym spojrzeniu. — Chcesz się przejechać? — Naturalnie, że chcia!

Krótką lekcją prowadzenia motocykla i już okrył go jasny obłok kurzu, z którego wytrysnął tylko jak pocisk zdmuchnięty pędem kapelusz. Czekaliśmy cierpliwie dziesięć, piętnaście minut. Po pół godzinie zaczęliśmy się niepokoić: czy nie stało mu się coś na szosie? Ale nie, wrócił, witany tryumfalnie przez dzieciarnię i baby, rozpromieniony i dumny.

Guadalupe 25 sierpień

Guadalupe nazywałoby się w Anglii, czy Francji, wioską. Dziwna wioska o czterech tysiącach mieszkańców, z których wielu gnieździ się w czternasto i piętnastowiecznych domach — niegdyś rezydencjach możnej szlachty. Nad miasteczkiem wznosi się forteca-klasztor założony przez Alfonsa XI w 1340 roku, po zwycięskiej bitwie z Arabami. Klasztor, obok jego nowych gospodarzy — franciszkanów, zamieszkują jak dawniej bociany, jastrzębie i sowy. Wspaniałe zbiory tkanin i haftów kościelnych z XV-XVII wieku, obrazy Zurberana i jego uczniów, wreszcie sama figura Matki Boskiej, której kopię kradł z Rzymu Sapięha. Naiwne malowidła zdobiące klatkę schodową upamiętniają — obok innych — i ten szczegół dziejów Ciemnej Madonny. Z sufitu kaplicy św. Hieronima zwisa lampa ze zdobyczego pod Lepanto statku tureckiego dowódcy. Po pracowicie przełożonym przedpołudniu smakuje wybornie obiad w refektarzu ubranym w wieśniacze fajanse.

Caceres 26 sierpień

Przyjeżdża się tu z Trujillo po drodze prawie prostej przecinającej łagodne wzgórza. Na rozgrzanej szosie i w przydrożnych wyschniętych trawach i badyłach szerzy się życie. Nieprzeliczone cykady, wielkie i ociężałe w gorącym powietrzu, dają się oglądać z bardzo bliska, a warkot motoru płoszy je zbyt późno: podrywają się niezgrabnie i gi-



Cześć zamku Fuengirola jest już w ruinie

na, uderzając nas po nogach, w części motoru, w bagaż. Zielono-szare jaszczurki wielkości i tuszy szczurów, o głowach ochraniających chitynowym hełmem, krótkich ogonach i za-wyłym delikatnym deseniem skóry, patrzą na nas ciekawie nie spiesząc się ustępować z drogi. Janusz uważa, by nie zrobić krzywdy pięknym leniuchom i omija je z daleka. Skręca zresztą gwałtownie również gdy przez drogę przepelzają węże — mówi że z obrzydzenia. Jeździmy więc esowatą linią po całej drodze, która — zdawać by się mogło — opuścili ludzie ustępując miejsca owadom, plazom i ptakom.

Na łąkach i nieużytkach całe stada bocianów, a w pewnej chwili z przydrożnego rowu podrywa się kilkanaście dropi. Niemal tracą nas w odlocie i siadają niedaleko: przez lornetkę widać dookładnie jak kręca śmiesznie głowami z czujną ciekawością.

Caceres jest miastem średniowiecznych pałaców i wież ulubionych przez bociany. Na każdej z nich po kilka przynajmniej gniazd. Wież było dawniej więcej: wszystkie prywatne zburzyli królowa Izabella, aby ukarać skłóconą szlachtę prowadzącą między sobą bezustanną wojnę, robiąc wyjątek jedynie dla Wieży Bocianów należącej do wstawionego w bitwie pod Toro don Diago de Caceres Ovando.

Wyjeżdżamy z miasta w okoliczne wzgórza po ścieżkach polnych, bezdrożu, przez wyschnięte prawie o tej porze roku strumienie w poszukiwaniu Caceres el Viejo, jak nazywają Hiszpanie miejsce, gdzie przetrwały szczątki dawnego obozu rzymskiego założonego przez Quintusa Ceciliusa Metellusa w czasie wojny z Sertoriuszem. Niewiele już tylko kamieni pozostało na świadectwo zmagania o ukształtowanie się politycznej formy Europy. Gdyby zwyciężyła koncepcja Sertoriusza, Europa stałaby się, być może, konglomeratem państweczek o kilkaset lat wcześniej. Czy byłaby jednak Europą?

Ronda — San Pedro de Alcantara 27 sierpień

Spędziwszy kilka godzin w Rondzie — miasteczku, które rozsiadło się na dwóch brzegach rozpadliny spiętych mostem jak kamienną agrafką, wyjeżdżamy ku morzu. Droga przez Sierra Bermeja jest jedną z najbardziej malowniczych, jakie zdarzyło mi się widzieć w Hiszpanii. Gdzieniedzie formacje skalne skręcone i pogięte wychodzą poza zwykły spokój i statyczność kamienia. Barok natury. Kamienne cmentarzysko wiatrów. Minawszy przełęcz mój towarzysz gasi motor. Następne dwadzieścia kilometrów zjeżdżamy w ciszy kaleczonyj tylko szelestem pryskającego spod kół żwiru. Nieoczekiwanie, jak zwykle w górach, otwiera się przed nami głęboka dolina wypełniona matowiejącym od narastającego zmięrczu błękitem wyraźnie rozgraniczonym na dwie nierówne części: niższa, ciemniejsza — to Morze Śródziemne. Zbocza łagodnieją i mnoży się zielen. Janusz chce coś powiedzieć: widzę po jego minie. — No mów! — Kręci głową z zakłopotanym uśmiechem. — Mów, i tak wiem co to miało być: Anabazis, czwarta księga... — „Kiedy krzyk coraz bardziej po-tężniał, w miarę jak rosła ich liczba, Ksenofont zrozumiał, że stało się coś niezwykłego. Dosiadł więc konia, dobrał sobie Lukiosa i jeźdźców i ruszył na pomoc. Rychło usłysze-li żołnierzy wołających: Morze! Morze! — i podających sobie z ust do ust to słowo...”

Fuengirola 28 sierpień

Po nocy przespanej twardo wstaliśmy wcześniej. Mój towarzysz udaje, że nie wie o co chodzi i przy kawie, z głupia frant, proponuje kąpiel w morzu. — Przecież wiesz, że jedziemy do Fuengirola — przypominam z wymówką. — Phi, Fuengirola nie ucieknie. Czekala na ciebie tyle czasu, poczeka jeszcze pół dnia — przekomarza się, ale już zmierzając ku motocyklowi.

Morze, ogrody, wille, kilkanaście zakrętów... i drapiemy się po zboczu niewielkiego wzgórza, ku pogruchotanym murom i baszynom. Zameczek, choć mały i żadne architektoniczne cudo, nie jest dla nas wcale zwykłą ruiną, jakich w Hiszpanii spotyka się tak wiele. Rzecz w tym, że w październi-



Fragment wewnętrznego podwórca klasztoru w Guadalupe

ku 1810 roku, gdy wojska napoleońskie wkroczyły do Andaluzji, Fuengirolę obsadziła polska załoga złożona z 150 ludzi pod dowództwem kapitana Młokosiewicza. Anglicy, operując z odległego o 70 kilometrów Gibraltaru wysadzili desant. Nasi jednak nie tylko wytrzymali oblężenie wielokrotnie liczniejszej przeciwnika, wspieranego w dodatku przez regularne oddziały hiszpańskie i partyzantów oraz dysponujące artylerią na łącznie i morzu, ale gdy nadeszła pomoc z pobliskiego Mijas — dwustu kilkudziesięciu ludzi pod dowództwem szefa batalionu, Bronisza, zmusiło Anglików do ucieczki biorąc ponoć więcej jeńców niż ich było samych. Wśród wziętych do niewoli znajdował się dowódca angielski lord Blayney wraz z adiutantem.

Zewnętrzne mury zamku trzymają się jeszcze nieźle, choć liczne dziury i parę mocno nadwierzonych baszt świadczą o skuteczności ognia angielskiej artylerii. Zabudowania wewnętrzne prawie w zupełnej ruinie oprócz dwóch, których do bardzo jeszcze niedawna musiano używać jako szatału czy stajni. Ani śladu polskich napisów. Zmęć je musiały deszcze, zatręć morskie wiatry. Bo że były, trudno wątpić. Cóż by to był za żołnierz, co nie utrwałiby się na murze datą, imieniem dziewczyny, czy choćby słowem nieprzyzwoitym? Mury sypią się i kruszą, szczególnie tam, gdzie nadwierzają je oblężenie. Aż strach chodzić po drobnym kamieniu przekładanym warstwami płaskiej cegły. Obchodzimy ruiny wokół próbując sobie wyobrazić przebieg walki. Rozmieszczamy na chybił trafił angielskie oddziały i wyznaczamy drogę z widocznych na horyzoncie gór partyzantom i odsieczy.

W południe opuszczamy zamek. Północnym stokiem wzgórza schodzimy ku motorowi. Jest w tym nieco smutnej symboliki. Dodał jechaliśmy ciągle na południe, oddalając się beztrąsko od calorocznej zwyczajności. Od dziś — wprawdzie po pięknym łuku wybrzeża śródziemnomorskiego — ruszamy jednak w drogę powrotną.

(Dokończenie nastąpi)



Zamek Fuengirola, w którym polska załoga odparła natarcie Anglików

HISTORIA ŚWIĘTA
PISMO ŚWIĘTE STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU
W WYPISACH I Z ILUSTRACJAMI
Podręcznik dla nauki religii.

Stron 282. Oprawa. Cena 13/6

Na żądanie wysyła:
Katolicki Ośrodek Wydawniczy VERITAS
12, Praed Mews, London, W. 2.

Cnota czystości

Jesteśmy narodem katolickim — ale dziwnie wiele jest w nas demoralizacji. W Częstochowie w zeszłym roku było półtora miliona pielgrzymów, w tym roku — podobno — milion, ale równocześnie Polska jest pełna cudzołóstwa i rozpusty, pełna rozwodów, pełna pijaństwa, pełna kradzieży i łapownictwa, pełna chuliganstwa. Tak samo i na emigracji: nabożeństwa polskie są zwykle licznie obsłane, ale ilością rozwodów i uwodzicielstwem bijemy wszelkie rekordy.

Oczywiście, głównym wytłumaczeniem jest tu to, że po prostu dużo jest w naszym narodzie tendencji skrajnych. Jedni ludzie jeżdżą z pielgrzymkami do Częstochowy czy Aylesford, a drudzy, całkiem inni, się rozwodzą. Ale to zgola nie wyjaśnia wszystkiego. Są między nami też i tacy, co robią i jedno i drugie. Znałem człowieka, który w obozie jeńców przez długi czas, bodaj przez całe lata, przystępował co dzień do Komunii świętej, a który po wojnie wstąpił w nieprawy związek małżeński, mający źródło w rozwodzie. Słyszałem świeżo o człowieku, który ma żonę w Kraju i ma wobec niej wielkie winy, a tu żyje w konkubinacie — ale chodzi ze swą konkubiną regularnie do kościoła. Nie są to bynajmniej wypadki wyjątkowe.

Skąd się bierze ta niekonsekwencja? Myślę, że nie popełnił błędu psychologicznego, gdy wyrażę przypuszczenie, że ma ona źródło — w słabości.

Myślę, że ci ludzie wierzą w Boga. Ze mają świadomość swych win i że modlą się o przebaczenie tych win. Ze mają nadzieję, iż przyjdzie kiedyś taka chwila — przed śmiercią — gdy jeszcze zdąży pojednać się z Bogiem. Ale na razie... Na razie obierają w życiu drogę najłatwiejszą. Nie dlatego, żeby taką powzięli decyzję, ale dlatego, że są słabi. I że ześlizgują się z drogi obowiązków, ilekroć natkną się na trudność, czy pokusę, której pokonanie wymaga charakteru. Nawet tego żalują. Nawet gardzą sami sobą. Ale nie umieją się oprzeć.

Można się nad tymi ludźmi litować. Ale niesposób zaprzeczyć, że są oni źródłem wielkiej moralnej słabości naszego narodu. Procesy gnilne są o wiele groźniejsze, o ile ogarniają także i te tkanki, które powinny być zdrowe. Skorupa zgnilizny trafia się wszędzie — i łatwo ją odciąć. Ale gorzej jest, gdy zaczyna gnąć — rdzeń. A grzech, popełniony przez tych, co rozumieją, że to grzech, jest z pewnością o wiele cięższy od winy tych, co świadomości grzechu nie mają. Zás załamanie moralne, które nastąpiło w jednej dziedzinie pociąga za sobą dalsze załamanie i w innych.

Słysz się nieraz wśród obcych opinie o pewnego rodzaju moralnej schizofrenii Polaków. Modlą się, a równocześnie nurzą się w błocie. Zupełnie jak Rasputin. Nie wymyśliłem tego określenia. Powtarzam je, bo je słyszałem.

Oslabła w naszym narodzie tresura charakteru. Jesteśmy poczciwi, o dobrych chęciach — ale mięccy i słabi.

Stawiam tezę: jedną z głównych przyczyn obecnego moralnego fermentu w naszym narodzie i naszej słabości — jest rozluźnienie rygorów moralnych w dziedzinie seksualnej. Zmysłowość — to jeden z grzechów najcięższych i szerszących największe spustoszenia, najbardziej osłabiających wolę, pociągających za sobą całe mnóstwo grzechów dal-

szych. A siły moralnej i odporności potrzebujemy dziś więcej, niż kiedykolwiek, bo jesteśmy jako naród w niebezpiecznym pod każdym względem położeniu.

Jeśli nie mamy załamać się moralnie i stoczyć ku ostatecznemu rozkładowi, musimy odbudować czystą i uczciwą rodzinę polską. A nie osiągniemy tego inaczej — jak tylko przez odrodzenie cnoty czystości w młodym pokoleniu.

Podstawą narodu i społeczeństwa jest rodzina, a filarem rodziny jest — matka. Ale jakże to słaby filar, jeśli jest on zepsuty, lub nadpsuty! Tylko czysta dziewczyna ma pełne warunki po temu, by być wzorową matką. Otóż zarówno w Kraju w wyniku procesów rozkładowych toczących nasze społeczeństwo, pod wpływem komunizmu oraz przemian i załamań wcześniejszych jak na emigracji, pod wpływem otoczenia anglosaskiego i jego pojęć, czystych dziewczyn jest dziś o wiele mniej niż było dawniej i niż jest konieczne, by społeczeństwo było społeczeństwem zdrowym.

Oczywiście, trudno takie rzeczy wiedzieć na pewno. Wiedzą o tym dokładnie tylko spowiednicy, ale oni przecież tego nie powiedzą. Coś niecoś jednak się widzi i wie. Zwłaszcza z ust młodzieży, krajowej i emigracyjnej, dowiedzieć się można niejednego. Jest rzeczą niewątpliwą, że dziewczyna naprawdę czysta, naprawdę wolna od zabrudzenia, jeśli nie fizycznie to duchowo i w pewnym przynajmniej stopniu pod wpływem dzisiejszego tak szerokiej fały rozlewającego się zepsucia, jest zjawiskiem wprawdzie nie wyjątkowym jeszcze, ale jednak raczej rzadkim. A jakie dzisiejsze dziewczyny, takie jutrzejsze matki. A jakie matki — takie przyszłe społeczeństwo.

W 100-LECIE OBJAWIENIA W LOURDES

Instytut Polski Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii organizuje w 1958 roku

PIELGRZYMKI:

Tania pielgrzymka samolotem I. P. A. K. Odlot 22 marca 1958. Pełne 4 dni w Lourdes. Tylko 34 miejsca. Udział £ 29.10.0. Zgłoszenia do 15 grudnia 1957 r.

Doroczna pielgrzymka koleją 13 sierpnia 1958 r. Pełne 4 dni pobytu w Lourdes. Udział — £ 29.0.0. Wobec ograniczonej liczby miejsc w zamówionych hotelach, już przyjmujemy zgłoszenia i zapewniamy mieszkania w kolejności zgłoszeń. Listę zgłoszeń zamknijemy po pokryciu całej ilości zarezerwowanych miejsc.

W sierpniu będziemy mieli również jeden samolot pielgrzymkowy, który odleci 11-go sierpnia 1958 na pełny 7-dniowy pobyt w Lourdes. Udział w tej pielgrzymce wynosi 39 gwinej.

Wobec podniesionych cen i wielkiej liczby przewidzianych pielgrzymów do Lourdes w 1958 roku, prosimy o jak najwcześniejsze zgłoszenia. Szczegóły będą, jak zwykle, podawane w afiszach, ulotkach i w prasie katolickiej.

Zgłoszenia pisemne i wpłaty zaliczkowe po £ 3.0.0 od osoby przyjmują: Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii, 51 Eaton Place, London, S.W.1.

Ale to nie dość kłopotać się tylko o oblicze polskiej dziewczyny i kobiety. Nie żyjemy już w dziewiętnastym stuleciu i epoka owej wielkiej anomalii, jaką była tak zwana „podwójna moralność”, gdy chłopcom i mężczyznom „wolno było” w praktyce postępować całkiem inaczej, niż dziewczętom i kobietom, dawno się skończyła. Przykazania Boże są takie same dla mężczyzn i dla kobiet i grzech jest takim samym grzechem, bez względu na to, czy go popełnia mężczyzna czy kobieta. Żyjemy w czasach emancypacji i równouprawnienia kobiet i nie ma o tym mowy, by kobiety mogły trwale utrzymać się na wyższym poziomie życia i moralności od mężczyzn swojego środowiska. Mąż, który zdradza żonę, jest z reguły także i przez żonę zdradzany — nawet jeśli żona o jego zdradach nie wie. Bo pewien ton i styl życia, zakres pojęć i postawa udzielają się i rodzą te same skłonności i tę samą słabość, lub brak skrupułów.

Także młodzieniec, który po przeżytej epoce kawalerskich miłości szuka sobie żony, z reguły nie znajdzie dziewczyny niewinnej i czystej: jego zbrukany gust nie zwróci się ku czystej dziewczynie, nie pozwoli mu takiej dziewczyny nawet w ogóle rozpoznać i ocenić, raczej przeciwnie skłoni go ku temu gatunkowi kobiecemu, z jakim już miał w życiu do czynienia.

Jeśli chcemy, by typ polskiej dziewczyny był typem dziewczyny czystej, to musimy także chcieć, by typem polskiego chłopca był typ chłopca po paniensku czystego i niewinnego. A tymczasem typ taki jest dziś w narodzie polskim jeszcze rzadszy, niż typ czystej dziewczyny. Typ ten istnieje. W pewnych środowiskach był on całkiem częsty za naszej młodości, w pewnych środowiskach istnieje on i wśród młodzieży dzisiejszej. Ale jest rzadki.

Jest rzadki tym bardziej, że za mało wiadać w polskim społeczeństwie — i w otoczeniu polskiej młodzieży — troski o jego urobienie. Co raz się słyszy relacje o stylu rozmów, stylu opowiadanych dowcipów, lub popelnianych żartów, świadczących co najmniej o braku chęci odsunięcia od siebie myśli i zainteresowań ryzykownych, nawet wśród ludzi na pozór czynnie katolickich, a nawet wśród harcerzy.

Otóż urobienie typu młodego człowieka i młodej dziewczyny, czystych w myśli, mowie i uczynku i pragnących być wzorem nieskazitelnego Polaka-katolika i Polki-katolicki, wzorowej matki i ojca, a być może także wzorowego księdza i zakonnicę, jest nieodzownym warunkiem moralnego odrodzenia polskiego narodu, odbudowania jego moralnych podstaw, wzmocnienia jego charakterów, odrodzenia i udoskonalenia polskiej rodziny.

Rzecz prosta nie robi się tego ani na rozkaz, ani na zamówienie. Zaczynać w takich sprawach trzeba przede wszystkim — od siebie.

Ale jest rzeczą możliwą wytworzyć w tym duchu prąd, który by szerzył się z żywiołową siłą.

Trzeba, by wytworzył się taki prąd wśród polskich rodzin, wychowujących swoje młode pokolenie. I trzeba — przede wszystkim — by wytworzył się taki prąd wśród samych młodych.

Niechaj stwarzają oni środowiska, kółka, grupy, ożywione duchem integralnie pojętego katolicyzmu, którego nieodzowną podstawą są surowe, dosłownie i z charakterem w życiu stosowane zasady moralne.

Polonus

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

PRÓBY OPANOWANIA OPOZYCJI PISARZY

Ferment wśród pisarzy sowieckich, którego wyrazem była powieść Dudincewa „Nie samym tylko chlebem” i wyłamywanie się spod norm „sorealizmu”, trwa dalej, ale wywołuje coraz silniejszą kontrakcję ze strony kierowniczych czynników partii komunistycznej.

Powieść Dudincewa nie była wcale wypadkiem odosobnionym, przeciwnie liczba utworów literackich, krytykujących stosunki w partii, często bardzo ostro, i „grzeszących” przeciw kanonom sorealizmu, rośnie z każdym dnem. Typowy jest pod tym względem zbiór nowel Tendriakowa pt. „Kopalnie”. Występujący w nich działacze i funkcjonariusze komunistyczni odznaczają się niebywałą wprost głupotą i bezmyślnością — są to biurokraci i karierowicze. Ta surowa charakterystyka ze strony autora, który sam jest komunistą, spotkała się z wyrazami oburzenia na łamach pism „Literaturnaja Gazieta”, organu Związku Pisarzy Sowieckich. Stwierdza ona, że nawet błędy i pomyłki członków partii nie upoważniają pisarza do tego, by zaciemniał „ideę i znaczenie gigantycznego i bezinteresownego dzieła partii”.

Krytyka życia w kołchozach. Jak słusznie podkreśla niemiecki badacz życia sowieckiego Welkisch, wieś sowiecka w rosnącej mierze staje się tematem utworów literackich, ale nie w tym duchu, jakiego by sobie życzyli kierownicy partii. Pisarze wyzyskują fakt, że nawet partia musiała uznać, iż w życiu wsi, to jest głównie kolchozów, jest bardzo wiele złego — i biorą to za podstawę krytyki czy satyry, wychodzącej znacznie poza to, czego by sobie życzyły góry partyjne. Tak np. Aleksander Jaszin ogłosił w almanachu „Literaturnaja Moskwa” opowiadanie pt. „Hebel”, w którym zapewniona niby kolchozom swoboda planowania i tworzenia jest przedstawiona jako fikcja, skoro ludzie kierownicy po wsiach nie dbają zgola o białki chłopów i pochłonięci są wyłącznie interesami partii.

Sensację — stwierdza Welkisch — wzbudziła swym opowiadaniem „Mieszkanie nr 13” pisarka sowiecka Walcewa. Bohaterem tego opowiadania, mającego cechy reportażu, jest pułkownik Kowalew, cynik i sceptyk. Opuściwszy wojsko, żyje on w mieszkaniu, oznaczonym numerem 13, i ujawnia swe prawdziwe oblicze. Staje się tyranem dla swojej rodziny, dręczy żonę i bije syna. Boją się go wszyscy dokoła i wszyscy pragną, by otrzymał od państwa pensję wystarczającą na to, by mógł żyć w dobrych warunkach i nie musiał uprawiać swego obecnego, brudnego zajęcia, które polega na wydawaniu w ręce policji politycznej niewinnych sąsiadów.

Rozgłos, jakiego nabrała książka, skłonił pismo „Literaturnaja Gazieta” do zabrania znów głosu. Pismo zapytuje retorycznie, ale z wyraźną groźbą: „Kim jest ten pułkownik Kowalew? Czy jest on świnią, która oddała się do dyspozycji organów służby bezpieczeństwa? Czy jest on wrogiem klasowym lub oszustem, który wśliznął się w szeregi armii sowieckiej? Nic podobnego. Kowalew, jak wynika z dowodów przytoczonych przez pisarkę, jest wytworem naszego socjalistycznego porządku społecznego i dopiero władza sowiecka zepsuła tego człowieka”.

Jak stwierdza Welkisch, Walcewa nie jest



J. K. M. Jang di Pertuan Agong, pierwszy król Malajów, składa podpis pod aktem swej przysięgi królewskiej. Ceremoniał odbył się w sali tronowej Istana Negara (patrz ŻYCIE nr 37(534) str. 15, art. „Merdeka”

zgola odosobniona w swym „zboczeniu” pisarskim. Niewiele „lepiej” przedstawia się sprawa znanego pisarza sowieckiego Konstantego Simonowa (którego sztukę „Rosjanie” wystawiano po wojnie m. in. w Londynie). W nowym jego opowiadaniu „Tylko jeszcze dzień” główną postacią jest dowódca pułku, który mimo swego wysokiego stanowiska wojskowego jest patologicznym tchórzem. Nie zawsze był jednak takim. W okresie wielkich zwycięstw w roku 1937 Baburow został uwięziony przez NKWD i przeszedł całą gehennę nieludzkiego śledztwa i tortur; słowem stał się jedną z niezliczonych a niewinnych ofiar systemu stalinowskiego. W następstwie załamuje się zupełnie psychicznie, pełen jest strachu zarówno przed życiem jak i przed służbą wojskową i w końcu podczas wojny skazany zostaje przez trybunał wojskowy za tchórzostwo. Prasa partyjna zaatakowała gwałtownie Simonowa, zarzucając mu „fałszowanie rzeczywistości”, posypały się przy tym insynuacje, że ukazanie się „antypartyjnej” powieści Dudincewa „Nie samym tylko chlebem” właśnie w czasopiśmie „Nowy Mir”, redagowanym przez Simonowa, nie jest wcale przypadkiem.

WIECZÓR AUTORSKI JERZEGO RYTARDA

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie urządził w piątek 27 września o godzinie 7.30 wieczorem w Instytucie Historycznym im. Sikorskiego wieczór autorski Jerzego Mieczysława Rytarda, przybyłego z Kraju. Utwory dawne i nowe odczytają: Iza Kozłowska i autor. Przewodniczyć będzie Tadeusz Sułkowski.

„Nieprawomyślne” sztuki i „nieprawomyślne” czasopisma. Nie tylko powieści, ale i niektóre sztuki sceniczne narażają się co najmniej na ostre reprimendy ze strony partii. Tak na przykład treścią utworu dramaturga Steina „Hotel Astoria” jest rozpaczliwa walka lotnika wojennego Konowalowa o oczyszczenie się z zarzutów, na podstawie których został uwięziony także w roku 1937 przez leningradzki NKWD. Zwolniony z więzienia po wybuchu wojny, otrzymuje przydział do lotnictwa przewozowego na tyłach frontu, gdyż przełożeni nie ufają mu i dlatego odmawiają mu skierowania go do lotnictwa bojowego. I ten utwór spotkał się z głosami surowej krytyki i sarkazmu ze strony góry partyjnej.

Mimo tego ciągłego karcenia, „nieprawomyślne” nastroje wśród pisarzy sowieckich ciągle wstają i objęły także czasopisma i almanachy literackie, z wyjątkiem takich oficjalnych wydawnictw, jak „Literaturnaja Gazieta” czy „Inostrannaja Literatura”. W Moskwie, poza wspomnianym już czasopiśmie „Nowy Mir”, ostro potępiony został almanach „Literaturnaja Moskwa” oraz czasopismo „Moskwa”, któremu ze strony partii zarzucono „kłamliwe przedstawianie stosunku człowieka sowieckiego do otaczającego go świata”, „fałszywe tony i odwracanie się od aktualnych zagadnień naszej epoki” i tym podobne „zbrodnie”.

Bunt przeciw „sorealizmowi”. Jak stwierdza Welkisch, frondujący pisarze korzystają z arsenału, dostarczonego im przez XX kongres partyjny i traktują poważnie to, czego by partia wcale poważnie traktować nie chciała. W szczególności kierownic-

two partyjne jest zaalarmowane nie na zarły wyłamywaniem się pisarzy z zasad „realizmu socjalistycznego” w jego ortodoksyjnej interpretacji, gdyż zdaje się to prowadzić do zasad i atmosfery parującej w świecie zachodnim. Pisarzy takich podciąga się pod kategorię „rewizjonizmu” i „tworzenia frakcyj”, co wśród komunistów stanowi najcięższe oskarżenia, które za czasów Stalina z reguły prowadziły do procesów, kończących się wyrokami śmierci. Obecnie partia obawia się sięgać do takich metod, niemniej posługuje się ciągle zastraszaniem i naciskiem. Idzie to tak daleko, że próbuje się skonstruować jakiś związek między opozycyjnym stanowiskiem pisarzy a rzekomo „antypartyjną” grupą Malenkowa, Mołotowa i Kaganowicza, choć wiadomo, że grupa ta za pośrednictwem Szepilowa, referującego sprawy kulturalne w Komitecie Centralnym Partii, była właśnie zwolenniczką bezwzględnej podporządkowania całej twórczości artystycznej rozkazom partii i państwa.

Pozornie — pisze Welkisch — obecna akcja partii przeciw pisarzom jest podobna do kroków podejmowanych w przeszłości. Istnieją tu jednak dwie istotne różnice: brakuje narzędzia terroru, bezpośredniego zagrożenia oskarżonych. Dlatego jak dotąd wystąpienia ich nie kończą się w pewnym momencie odwrotem, samooskarżeniem się i pokutą.

Z drugiej strony nawet w obecnych, postalinowskich warunkach w Rosji brak jest swobody ruchów, potrzebnej dla otwartego protestu i akcji bezpośredniej. Nie istnieje sytuacja rewolucyjna i dlatego opór przeciw oskarżeniom i zarzutom wyrażać się może tylko w formie milczenia i pozornej bierności, która drażni ogromnie czynniki partyjne. Pisarze oskarżeni i wzywani do usprawiedliwienia swego stanowiska nie zgłaszają się do głosu i często nie uważają za stosowne nawet pojawiać się na zebraniach partii czy swego związku. W Moskwie mówi się o „konspiracji milczenia”, a oskarżyciel partyjny na trzecim plenum Związku Pisarzy Sowieckich określił milczenie to jako wyraz psychiki „małomieszczańskich demokratów”.

Czy Chruszczow sobie z tym poradzi? Zdaniem Welkicha, opór pisarzy może być złamany. Rzeczą zmienną jest, że Chruszczow ograniczył swą reformę czerwonego imperium do gospodarstwa i administracji, by zapobiec w ten sposób zawałeni się nadwzajemnego duchowego frontu komunizmu.

Powrót do czasów stalinowskich w dziedzinie kulturalnej będzie jednak bardzo trudny, ruchawka bowiem nie ogranicza się do literatury. Z moskiewskiej galerii Tretiakowa musiano usunąć najszpetniejsze malarstwa socrealistyczne. Malarze sowieccy, podobnie jak pisarze, poczynają eksperymentować i szukają nowych form wyrazu. Architekci coraz bardziej wpatrzni są we wzory zachodnie, podobnie muzycy, aktorzy i reżyserzy teatralni.

Przeciw pisarzom polskim. Z tych względów nie wydaje się, by dyskredytowane karony „realizmu socjalistycznego” mogły być na długo zgalwanizowane nawet przy użyciu najostrożniejszych środków. Nadchodzą jednak dalsze wiadomości o posunięciach partii idących w tym kierunku, nie uwzględnionych jeszcze w relacji Welkicha. W tym celu mobilizuje się wszystkich zwolenników ortodoksyjnego stanowiska.

Jednym z nich jest znany pisarz Aleksander Czuchowski, który w audycji, nadanej przez radio moskiewskie, piorunował przeciw ofensywie „międzynarodowych kół reakcyjnych”, godzącej w „ideologię socjalistyczną”.

Kampania ta — zdaniem jego — przybrała szczególnie na sile z chwilą wybuchu „kontrewolucji” na Węgrzech. Czuchowski mówi o „wpływach imperialistycznych” na literaturę „demokracji ludowych” i oświadczył, że na przykład w Polsce „szereg pisarzy wystąpiło z gwałtownym atakiem na realizm socjalistyczny i na samą zasadę uzależniania rozwoju literatury od wpływów partii”. Musi to wywoływać niepokój wśród wyznawców zasady leninowskiej, że literatura stanowi nierozdzielną część wspólnej sprawy proletariatu.

Czuchowski, który jest redaktorem wspomnianego już pisma „Inostrannaja Literatura”, oświadczył następnie, że szereg pisarzy sowieckich uległo „obcym wpływom”, wymieniając czasopisma „Nowyj Mir” i „Literaturnaja Moskwa” oraz powieść Dudincewa „Nie samym tylko chlebem”.

Ostatnio z wielkim atakiem na „obce wpływy ideologiczne” w literaturze i sztuce sowieckiej, wystąpił centralny organ partii „Prawda”.

CZY ZMIERZCH ZACHODU JEST NIEUNIKNIJONY?

Dzieło historyozoficzne Arnolda Toynbee’a „A Study of History”, którego ostatnie cztery tomy ukazały się trzy lata temu, obok głosów pochwalnych wywołało też ostrą niekiedy krytykę. Zakwestionowana została przede wszystkim teza Toynbee’a o nieuniknionym jakoby upadku Zachodu i jego cywilizacji, wynikająca zresztą z ogólnych założeń Toynbee’a o wzroście, rozwoju i rozkładzie cywilizacji ludzkich. Z najsilniejszą krytyką wystąpił w dłuższym artykule historyk H. R. Trevor-Roper, niedawno mianowany profesorem historii na uniwersytecie oksfordzkim.

Trevor-Roper stwierdza, że istotnie w pewnej dziedzinie nastąpiło widoczne przesunięcie na niekorzyść Zachodu, ale właśnie tę dziedzinę Toynbee w dziele swym całkowicie pomija. A mianowicie techniczne udostępnienie wielkich mas lądowych przy pomocy kolei, pojazdów motorowych i samolotów pozbawiło małe narody morskie Europy przodującego stanowiska i w miejsce tego zmobilizowało o wiele z natury większą, lecz do tej pory niewyżyskane źródła energii na obszarach Ameryki i Rosji.

Jednak to przesunięcie się punktów ciężkości siły nie miało nic do czynienia z samym tylko upływem czasu, czy „starzeniem” się kultur. Rozpoznane zostało już przez geografów takich jak sir Halford Mackinder, nim Toynbee natknął się na to zjawisko, oddzielił je od jego rzeczywistych przyczyn i miast nich przypisał je postulowanym procesom kosmicznym, które jednak mają zupełnie inne drzewo genealogiczne.

Śladami Hegla, Marksa i Spenglera. Jest to — zdaniem Trevora-Ropera — drzewo genealogiczne niemieckie. Teoria, że wszystkie procesy dziejowe są z góry postanowione i że przejściu z jednej postanowionej z góry fazy rozwojowej do następnej towarzyszą katastrofy historyczne na miarę światową, jest ideą specyficzną niemiecką. Wypowiedzieli ją Hegel, Marks i Nietzsche; ponieważ w wieku XX spadły ciężkie katastrofy, i to przede wszystkim na Niemcy, stała się ona nierozłączną częścią różnych ideologii niemieckich.

Po klęsce Niemiec w pierwszej wojnie światowej, w ówczesnych ścieraniach się, wśród gruzów dawnych mocarstw i pod naciskiem straszliwych problemów społecznych, było

rzeczą aż nadto zrozumiałą, że społeczeństwo niemieckie chwyciło się wyrosłych w jego łonie idei, w następstwie czego proklamowano powszechną katastrofę. Marksisci w swej nienawiści do „kapitalistycznego” Zachodu obwieścili, że minęła cała epoka dziejowa. Zachód wraz z całą swą kulturą się skończył; musi on być zdobyty i przekształcony, a tego dokonać może tylko nowe, niezachodnie mocarstwo, które przyjęło niemiecką naukę marksizmu, Rosja Sowiecka. Ufali oni mocno, że przejmą dziedzictwo Zachodu, że będą użytkownikami i władcami nowej epoki.

Z drugiej strony zachowawczy intelektualiści niemieccy czerpali z tego samego źródła, choć wyciągali takie same wnioski końcowe znacznie mniej ochoczo. Wśród zgrzytania zębów oznajmił Oswald Spengler, że godzina Zachodu wybiła, że wszystkie „kultury” mogą być mierzone tą samą miarą i są śmiertelne i że rozłożenie się naszej własnej kultury jest bardzo bliskie.

Toynbee na widowni. Na widowni pojawił się tymczasem Toynbee, idąc w ogólnych liniach z teorią Spenglera. I on był konserwatystą i jako filozof klasyczny kochał przeszłość; dlatego też spoglądał na przewidywane zawałenie się dawnego porządku z pewną troską. Toynbee odczuwał jednak pewną niemiecką „Schadenfreude” łącząc upadek Zachodu ze wzrostem nacjonalizmu. Nie było to logiczne, bo skoro wyznacza on jednakowy mniej więcej okres istnienia wszystkim cywilizacjom, jest rzeczą jasną, że upadek któregoś z nich jest funkcją jej wieku a nie rozumu.

Toynbee jednak znajdował przyjemność w stawianiu tego znaku równania; mógł z bardziej jeszcze proroczym wyrazem mówić do konającej cywilizacji nie tylko: „Jesteś stara i znajdujesz się już jedną nogą w grobie, umrzesz z pewnością” — ale także: „Grzeszyłaś, grzechy twoje zostały wykryte, zasłużyłaś na śmierć! Mówiłem ci to! Czyń pokutę!”

Odpowiednikiem stanowiska Spenglera i Toynbee’a reprezentującego defetyzm konserwatywny, były tryumfalne okrzyki na skrajnej lewicy: „Ginie stary porządek — jest on skazany na zagładę. Uderzymy go jeszcze raz, a będzie skończony. Wtedy zacznie się panowanie nowej klasy.” Taki właśnie był okrzyk radykalnych rewolucjonistów we wszystkich czasach. Był to okrzyk anabaptystów z Münster w XVI wieku, angielskich Saints w XVII wieku. Społeczeństwo jednak jest znacznie bardziej krzepkie niż wydaje się radykałom, jak rychno musieli stwierdzić anabaptyści i Saints.

Na tezach katastrofistów wyjeżdża Hitler. W Anglii — stwierdza Trevor-Roper — gdzie istnieją rozsądni konserwatyści, tez Toynbee’ego nie brano zbyt na serio. Tego rodzaju apokaliptyczne poglądy mogły znaleźć echo tylko w Niemczech. Rzeczywiście też otrzymały one w Niemczech nowy zastrzyk życia. Co prawda, marksistom nie udało się urzeczywistnić marzenia o podboju Niemiec, ale za to inna, wroga Zachodowi, partia radykalna potrafiła wyzyskać dla siebie teorię upadku Zachodu. Podobnie jak Spengler i Toynbee także Adolf Hitler studiował historię. Tak jak i oni wertował po stuleciach i wybierał takie fakty, jakie uważał za wygodne, by stworzyć z nich swój potworny system. W umyśle jego prawdziwe fakty geografii łączyły się z filozoficznym śmieciem — i oto ujrzał się w roli feniksa dziejów, mesjasza, który zamknie pewną epokę historii i otworzy nową. Zachód — mówił — jest skończony, a Niemcy nie są skończone, jeśli tyl-

ko wyrzekną się Zachodu. Hitler właśnie obudzi Niemcy do nowego życia, oswobadzając je z objęć konającej cywilizacji.

Kiedy legiony niemieckie kroczyły poprzez Europę, wielu ludziom musiało się wydawać, że ponure wróżby Toynbee’ego sprawdzają się. Niewątpliwie był to koniec Zachodu

Toynbee — stwierdza Trevor-Roper — nie był w żadnym razie świadomym sprzymierzeńcem intelektualnym Hitlera. Nie cieszył się widokami podboju Europy przez Niemców. Zdaje się on jednak nie troszczyć o to, kto zniszczy Zachód, byle tylko Zachód uległ zniszczeniu, co uzasadniłoby jego teorię.

Nie ma powodu do zwątpienia. W rzeczywistości nie ma powodu, abyśmy założyli ręce i pogodzili się z nieuniknioną jakoby śmiercią cywilizacji zachodniej — pisze Trevor-Roper w zakończeniu swego artykułu. — Oczywiście zachodzi względny spadek siły Europy zachodniej — spadek spowodowany osiągnięciami Europy zachodniej w zmobilizowaniu zasobów o wiele większych obszarów, które ją obecnie zacmiewają. Nie można teraz wyobrazić sobie, by Europa zachodnia — to jest Wielka Brytania, Francja, Niderlandy i Włochy — mogły panować nad światem w tym stopniu, jak to było w przeszłości. Ale — pyta Trevor-Roper — któż uważa „panowanie” za zasadnicze znamię cywilizacji? Upadek ten w każdym razie jest relatywny, a nie absolutny; jest rzeczą całkiem niewłaściwą przypisywać „chorobę” człowiekowi, który ciesząc się zdrowiem takim jak zawsze, został przerosnięty przez olbrzyma.

Poza tym — wywodzi Trevor-Roper — jeśli porównamy dzisiejszą Europę zachodnią z Europą zachodnią lat trzydziestych, zobaczymy, że pod pewnymi względami jest ona dzisiaj zdrowsza. W latach trzydziestych Niemcy i Włochy stracone zostały dla Zachodu. Dzisiaj Włochy i połowa Niemiec została wyraźnie odzyskana. W latach trzydziestych sytuacja społeczna w Europie zachodniej stała się niepewna przez „sprzeczności kapitalizmu”, które starali się wyzyskać zarówno Hitler jak Stalin. Dzisiaj sprzeczności te zostały rozwiązane do tego stopnia, że żaden z krajów Zachodu nie obawia się na serio rewolucji. Natomiast odwrócić — pisze autor — właśnie w krajach Europy wschodniej sprzeczności komunizmu zagrażają teraz rewolucją — i intelektualiści Polscy, Węgier oraz samej Rosji spoglądają ku zachodniemu „społecznemu kapitalizmowi jako środkowi zaradczemu”. W tych okolicznościach — konkluduje Trevor-Roper — mówić o Zachodzie, jakoby był nie tylko pomniejszony w swej sile relatywnej, ale miał także chorą cywilizację, jest nie tylko błędne, ale jest po prostu absurdalne.

Artykuł Trevora-Ropera, który ukazał się w londyńskim miesięczniku „Encounter”, wywołał zrozumiałe zainteresowanie w Niemczech i został w streszczeniu podany przez parę pism niemieckich. Należy wyrazić nadzieję, że zawarte w nim twierdzenie, jako połowa Niemców znów na dobre powróciła do Zachodu, okaże się słuszne na dalszą metę. Autor zaradko, jak się wydaje, stoi na stanowisku „Małej Europy”, nie podkreślając, że cywilizacja, o której pisze, sięgała daleko poza zdefiniowane przez niego granice geograficzne Europy zachodniej i że właśnie zaleźnienie się Polski i innych krajów Europy środkowo-wschodniej poza „zależną kurtyną”, stało się jedną z ważnych przyczyn trudnego położenia, w jakim znalazł się Zachód, a w szczególności Europa zachodnia.

JUGOSŁAWIA O ODRZE-NYSIE

Doniosłym sukcesem spotkania między komunistycznymi przywódcami, Władysławem Gomułką i Titą, w Białogrodzie, jest uznanie, formalne i bezwarunkowe, przez Jugosławię granicy polskiej na Odrze i Nysie Łużyckiej. Prezydent Tito oświadczył: „...Z punktu widzenia praw narodu polskiego, jak również dla dobra sprawy bezpieczeństwa w Europie i interesów pokoju w tej części świata, uważamy, że granica polsko - niemiecka wzdłuż Odry i Nysy jest jedynym trwałym rozwiązaniem”.

Warto zanotować przy okazji tego wyrażenia, że Jugosławię nie wchodzi do Paktu Warszawskiego, a natomiast przez swój sojusz z Grecją i Turcją, członkami Paktu Północno - Atlantyckiego, zajmując pozycję niezależną między obu systemami.

Miarą wagi polskiego sukcesu są reakcje niemieckie. Dr Pfeleiderer, ambasador Federalnej Republiki Zachodnio - Niemieckiej w Białogrodzie, interweniował niezwłocznie. Dr Hallstein, wiceminister spraw zagranicznych w Bonn, zaprotestował przeciwko deklaracji jugosłowiańskiej. Posypały się w prasie niemieckiej skargi na nieposzanowanie niemieckich praw nie tylko przez Jugosławię, ale i przez mocarstwa zachodnie, zwłaszcza Wielką Brytanię, którą niektóre koła niemieckie „podejrzewają”, iż „sprzyja daniu zgody na granicę Odry i Nysy”.

Gomułka w swojej odpowiedzi na oświadczenia Tity ostro napiętnował „siły militarystyczne i rewizjonistyczne w zachodnich Niemczech, ciągle jeszcze spragnione zemsty”; usiłowania ich, by zakwestionować „nienaruszalną granicę na Odrze i Nysie”, określił jako „główną groźbę dla pokoju w Europie”. — To stanowisko, jak i okoliczności towarzyszące deklaracji białogrodzkiej, podkreślają negatywną rolę rewizjonizmu niemieckiego dla całokształtu rozgrywki Zachodu z blokiem komunistycznym. Usunięcie groźby niemieckiej i uspokojenie opinii, przede wszystkim polskiej i czeskiej, przez uznanie zachodnich granic Polski i Czechosłowacji ze strony zachodnich demokracji, przyczyniłoby się waleń do korzystnego obrotu sytuacji europejskiej.

Spotkanie w Białogrodzie budzi znaczne zainteresowanie w świecie politycznym. Podkreśla się w prasie zachodniej, że poprzedni gość w Białogrodzie, brytyjski minister spraw zagranicznych Selwyn Lloyd, stwierdził przyjazny rozwój stosunków jugosłowiańsko-brytyjskich i wolę Jugosławii zachowania niezależności.

Korespondent dyplomatyczny londyńskiego dziennika „Daily Telegraph”, David Floyd, w obszernym artykule pt. „Spotykają się 'krnąbrni chłopcy' komunizmu”, pisze m. in.:

„...Główną troską p. Gomułki jest przełamanie izolacji, w której się znalazł w bloku komunistycznym. Nie ma on bardzo serdecznych przyjaciół na Zachodzie; w Rosji przyglądają mu się nadal ze sceptycyzmem; odwracają się tyłem od niego w tych kątach imperium sowieckiego, gdzie panuje silniej serwilizm”.

Od czasu polskiej „rewolucji październikowej” nic nie zmieniło geopolitycznego położenia Kraju. Destalinizacja, swoboda wypowiedzi, brak policyjnego terroru w polskim życiu wewnętrznym nadal panują. Ale Polska nadal sąsiaduje od wschodu z Rosją, od południa z nieprzyjawnymi Czechami i od zachodu z niemieckim marionetkowym państwem wspieranym przez 30 sowieckich dywizji...

Marszałek Tito i p. Gomułka mają pod jednym względem ogromny atut w rozmowach, które prowadzą. Mianowicie są lepiej niż wielu innych poinformowani o sytuacji w Rosji i ostatnich przemianach tamże. To pozwala im postępować z większą pewnością...

W Moskwie są czynniki, które nie tylko zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa doktrynerskiej polityki (podboju świata przez komunizm), ale z faktu, że Rosja nie może sobie na nią pozwolić. Są jednak tam i inni, którzy, pomimo usunięcia p. Molotowa, opierają się zrozumieniu konieczności, w erze ciepłno-jądrowej, szukania porozumienia z Zachodem i zaniechania komunistycznej krucjaty przeciw wolnemu światu...

Wiele uwagi poświęca się w Warszawie rosyjskim reakcjom w związku ze spotkaniem (białogrodzkim). Wydaje się, że nie zwraca się uwagi na ewentualne reakcje na Zachodzie. Ale gdyby zapytano o nie, odpowiedź na pewno by stwierdziła, że trudno nam nie witać z radością każdego kroku, który doprowadzić może Polskę znowu do odgrywania niezależnej roli w sprawach międzynarodowych...”

Ludzie wolni, a zwłaszcza katolicy, nie mogą zapomnieć, że kardynał Stepinac nie jest jeszcze wolny, że Milovan Djilas siedzi w więzieniu, że w Jugosławii, bezwzględniej niż w Polsce, panuje dyktatura komunistyczna, ale niezależnienie się, choćby częściowe, od całkowitej podległości dyktatorowi Kremla jest sukcesem dla sprawy wolności i pokoju.

Delegacja, która udała się z Warszawy na spotkanie w Białogrodzie, odrzuciła rzekomo zaproszenie komunistycznego premiera węgierskiego Kadara, by po drodze wstąpić do Budapesztu.

KŁOPOTY FRANCJI

Wojna algerska jest niewątpliwie największym kłopotem Francji. Parlament zwołany wcześniej z wakacji, ma się zająć projektem nowego statutu dla Algierii. Statut przewiduje znacznie zwiększony samorząd lokalny i reprezentację z wyborów dla całości kraju, podzielonego na kilka autonomicznych obszarów. W niektórych z nich miałyby przeważać ludność francuska, w niektórych ludność arabska. Jedynie sprawy obrony, polityki zagranicznej i finansów pozostawałyby w rękach rządu w Paryżu. Już dziś wiadomo, że projekt nie zadawała ludności arabskiej, której przywódcy domagają się niepodległości. Są i liczni Francuzi, którzy nie widzą innego rozwiązania dla „tragedii algerskiej”, skoro 400.000 wojska nie może spacyfikować kraju, gdzie żyje 1.200.000 Francuzów obok 8.750.000 Arabów, których przyrost naturalny wynosi 200.000 głów rocznie.

Równocześnie nawet zagorzali nacjonaliści widzą zależność Algierii od Francji, konieczność długoletniego planu inwestycji dla rozwoju gospodarczego, zwłaszcza rolnictwa. 4 miliony mieszkańców Algierii utrzymują się niemal wyłącznie z pieniędzy przysyłanych przez krewnych pracujących we Francji, 400.000 Algeryczyków zatrudnionych w metropolii, przysyła rocznie około 45 milionów funtów. Bez przemysłu francuskiego niedź ludności byłaby nieporównanie większa. — Tymczasem, okrutna wojna zostrza nienawiści i nie wygasa, ostatnio liczy się, że do 800 partyzantów algerskich traci życie w ciągu jednego tygodnia.

LUDZIE I ZDARZENIA

W Manitobie, w Kanadzie, sezon polowań na dzikie kaczki rozpoczął się w tym roku wcześniej niż normalnie. Dzikie kaczki tak bardzo niszczyły zbiory farmerów, że zmusili oni władzę do wydawania zezwolenia na polowanie przed 20 września (w Polsce sezon polowań na kaczki rozpoczyna się 1 lipca). Niektórzy farmerzy w Manitobie twierdzą, że straty spowodowane przez dzikie kaczki sięgają 40 procent zbiorów.

★

„My Fair Lady”, komedia muzyczna, oparta na „Pigmalionie” Shawa, będzie wystawiona w Londynie w teatrze Drury Lane. Choć przedstawienia rozpoczną się 30 kwietnia 1958 r., to już od 1 października 1957 r. będzie można kupować bilety na półtora roku naprzód zorganizowanej sprzedaży biletów teatralnych świadczy o tym, jak bardzo jest ustabilizowane życie w starej Anglii.

★

W Helsinkach urządziła Wielka Brytania wystawę produktów swego przemysłu, pokazując równocześnie wiele rzeczy wybiegających daleko poza zwyczajne targi handlowe. W kinach wyświetlano specjalne filmy angielskie, urządzano pokazy mód, wysłano nawet na tę wystawę brytyjską „królową piękności”, zademonstrowano kilka większych jednostek floty brytyjskiej, pokazano autentycz-

nych policjantów londyńskich. Wśród rozlicznych imprez Finowie oglądali na ulicach Helsinek pochód londyńskiego lorda mayora w tradycyjnym orszaku z pojazdami. Sprowadzono w tym celu z Londynu samolotami karoce lorda mayora, z którymi jednak było trochę kłopotu, gdyż okazały się potrzebne konie godne wspaniałych karoc. Musiano je wypożyczyć ze Sztokholmu z królewskiej gwardii konnej. Na zdjęciu — konie przy karocy prowadzą żołnierze fińscy, na koźle zaś siedzi porucznik Anders Lindgren ze szwedzkiej gwardii królewskiej. Mieszkańcom Londynu, przyzwyczajonym do tradycyjnych średniowiecznych ubiorów masztelarzy lorda mayora, widok żołnierzy prowadzących konie może się wydawać dość dziwny, ale Finom pochód podobał się nadzwyczajnie. Okazuje się, że i tradycje można eksportować i mogą one służyć do zacieśniania przyjaźni i do propagowania eksportowanych towarów.

★

Strażacy, policjanci i kolejarze, pracowali z całym poświęceniem i zaparciem się przez 7 godzin, by uwolnić z rozbitej półciężarówki kierowcę Filipa McGuire. Półciężarówka zderzyła się z dwuwagonowym piętrowym pociągiem elektrycznym koło stacji Swansea Bay. Została przygnieciona do żelaznych sztachet z taką siłą, że jedno z kół wbiło się do kabiny motorniczego pociągu. Obie nogi prowadzącego półciężarówkę



Filipa McGuire zostały uwieszone w pozginanym żelastwie, co stanowiło poważne utrudnienie w akcji ratunkowej. Z powodu bliskości baku z benzyną, nie można było użyć lamp acetylenowych do rozcinaania żelaza. Jednemu z policjantów, P. C. Bates, udało się wcisnąć do wraku półciężarówki i pozostał tam przez pięć godzin podtrzymując Filipa McGuire. Pozycja policjanta była tak niewygodna, że pękły szwy jego butów, nie wytrzymał naprężenia skurczonych nóg. W czasie siedmiu godzin czekania rozmawiał z uwięzionym kierowcą ksiądz katolicki J. J. Grimbaldston, proboszcz z pobliskiej parafii, który też, razem z P. C. Batesem towarzyszył mu w ambulansie w drodze do szpitala, po uwolnieniu. W czasie akcji ratowniczej wzięto próbkę krwi McGuire'a, by w razie potrzeby mieć gotową odpowiednią krew do transfuzji; Filip McGuire otrzymał wzmacniające zastrzyki w czasie tej niezwyklej akcji ratowniczej.